

WSPOMNIENIA STRACENIA

BIBLIOTEKAZKA SPOŁECZNA

Nr. 14

ALEKSANDER ROZWADOWSKI

WSPOMNIENIA STRACENIA

ZDARZENIE PRAWDZIWE

**Kolekcja
Emila Kornasia**

WARSZAWA 1933
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

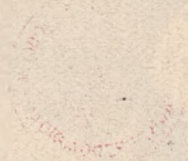


CH KEK 316975

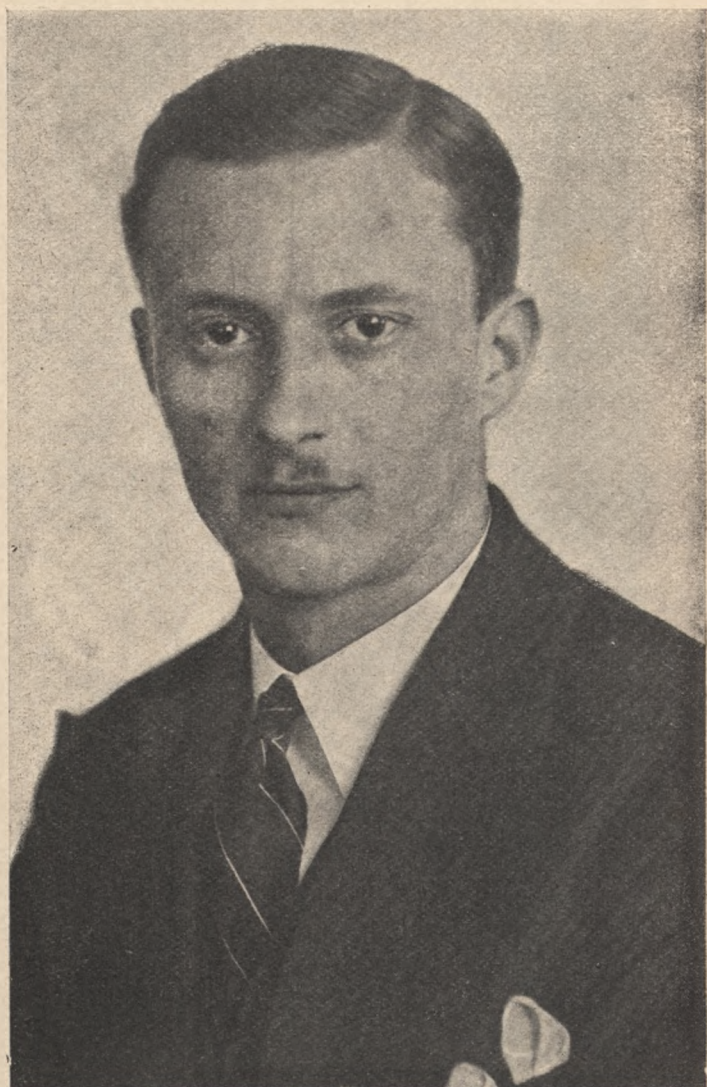
Wpisano do Księgi Akcesji

Nr 6107/33. Główna Drukarnia Wojskowa.

Akc. D1 nr 43/2012/CM



25000



Herrn und Frau Roswaden

WSPOMNIENIA STRACENCA

...Odzyskałem przytomność. W całym ciele czułem okropny ból. W uszach szumiało. Wołoko panował mrok, przerażający swą ciszą. Usiłowałem się podnieść z zimnej, cementowej posadzki i zbadać otaczającą mnie ciemność. Rozpaloną ręką natknąłem się na ośli zgłą i przeraźliwie zimną ścianę. Cofnąłem rękę ze wstrętem i zupełnie bezwiednie stanąłem na nogach. Błądząc z wyciągniętymi przed siebie rękoma przekonałem się, że ze wszystkich stron otaczały mnie wilgotne mury, a w jednym z nich dotknąłem się wołoku, którym były obite żelazne drzwi celi. Ogarneło mnie niewypowiedziane znużenie. Usiadłem więc i usiłowałem sobie przypomnieć szczegóły upłynionej nocy, wobec której kilkumiesięczne niemal przebywanie w miejskim więzieniu Taszkientu było rajem i dużybym dał za to, gdybym mógł powrócić do niego.

Więzienie... Sam ten wyraz jest czemś złowrogiem i strasznem dla ludzi, nie znających jego ponurych tajemnic. Jednak jest ono niczem wobec piwnic G. P. U. Kto poznał te piwnice, ten zrozumie mój żal i coś w rodzaju tęsknoty za ciszą i spokojem zwyczajnego wię-

zienia, z którego wyrwano mnie wczoraj o godzinie II-ej w nocy. Przypominam sobie wejście Uwarowa, dyżurnego więzienia, który wezwał mnie do kancelarii naczelnika więzienia. Domyślałem się przyczyny wezwania. Chodziło o ucieczkę, dokonaną przez jednego z więźniów.

Pomimo, że byłem osądzony na 5 lat ciężkich robót za zamach na syrdaryjski most kolejowy, jednak po osądzeniu odesłano mnie z G. P. U. do więzienia miejskiego, w którym na drugi dzień zostałemznaczony przez naczelnika starostą. Moim obowiązkiem było czuwać nad porządkiem w obrębie więzienia, oraz wyznaczać więźniom pracę.

Korzystając z tego stanowiska postanowiłem ułatwić ucieczkę jednemu z więźniów, Aleksandrowi Nielidow-Sirocinowi, memu przyjacielowi, który ku mej rozpaczy został skazany przez Czeka na rozstrzelanie i wyczekiwał zatwierdzenia wyroku przez Moskiewskie G. P. U. A zaco?

Za miłość ku broczącej obficie krwią Ojczyźnie.

Był młody, zdrowy i pragnął życia, które ja mogłem mu uratować. Nad wszelki wyraz było mi bolesne spojrzenie jego, gdy zegnał się ze mną co wieczór, nie wiedząc czy się jeszcze przywita rano. Aby go ratować, musiałem się spieszyć, gdyż lada chwila mógł być przeniesiony do celi pojedynczej jako „śmiertnik”. czyli skazany na śmierć i każdej nocy wyrok mógł go z niej wyprowadzić na zawsze. Wpisałem go na listę pracy i wyznaczyłem do podwórza gospodarczego, gdzie zazwyczaj więźniowie są mniej strzeżeni. Było to śmiałością

szaleńca, ale zawdzięczając głupocie dozorca z pochodzenia Uzbeka, obdarzającego szacunkiem każdego Europejczyka, a tem bardziej mnie, jedyne go, który chodzi nie w mundurze dozorca, bez przepustki na podwórze gospodarcze i zpowrotem, Sirocin został wypuszczony na podwórze gospodarcze i zdawało się urosły mu skrzydła. Stało się to dlatego, że dozorca ów nie zwrócił należytej uwagi na paszport osobisty więźnia, w który jest zaopatrzony każdy więzień.

Wprowadziłem Sirocina do znajdującej się w kącie pod samym murem stajni i wskazałem mu miejsce posterunku strażnika, nudzącego się za krzewami bzu. Za uścisk dłoni, za spojrzenie, którem mnie obdarzył, tak gorącem i wymownem — gotów byłem uczynić dla niego wszystko, co było w mej mocy.

Odchodząc poleciłem Sirocinowi, by oderwał drabinę nad żłobem i robiąc wrażenie sprzątającego stajnię, oczekiwał mego powrotu, gdyż razem mieliśmy zbiec.

Zbyt kusząca była dla niego wolność i nie czekając na mój powrót w jakiś czas potem przeszedł mur więzienny. Uczynił to tak niezręcznie, że ktoś zauważył z ulicy, gdy przekakiwał mur więzienny i zawiadomił władze więzienne, wskutek czego spędzono wszystkich więźniów do celi na apel, celem sprawdzenia nazwiska zbiega. Tak więc mój zamiar został udaremniony. Listę, w której był zapisany do robót Sirocin, przejrzał prawdopodobnie naczelnik więzienia i wiedząc, że miałem prawo wyznaczać na roboty więźniów tylko osądzonych, a nie podsądnych, do których należał Sirocin, zwrócił na to uwagę tem bardziej, że

lista ta nie była według przepisów więziennych przez niego uprzednio sprawdzona.

Przypuszczałem więc, że zniknięcie Sirocina było przyczyną wezwania mnie do kancelarji. Chcąc przygotować sobie odpowiedzi, zacząłem ubierać się bardzo powoli. Dyżurny jednak śpieszył i kazał mi iść w bieliźnie. W gabinecie naczelnika więzienia oczekiwało na mnie 5 osób: naczelnik więzienia Astanow, komendant G. P. U. Żylin i oprócz nich było jeszcze trzech nieznanym, którymi jak się okazało byli: naczelnik wydziału administracyjnego G. P. U. Moskow, Żydek mały, szczupły, z podłemi, maleńkimi i ciągle biegającymi oczkami; naczelnik wydziału kontrrewolucyjnego Piatniunas, barczysty Łotysz, z wyblakłemi, rybiemi oczyma oraz tłustą, czerwona i błyszczącą twarzą, zeszpeconą jeszcze bardziej mięsistemi, sinemi wargami. Ostatnim z nich był pomocnik komendanta G. P. U. — Tarakanow. Gdy wszedłem, Moskow kazał Astanowowi opuścić gabinet, czem sprawił mu widoczną przyjemność, bo prawdopodobnie nie chciał być świadkiem tego, co miało nastąpić. Po chwili Moskow zwrócił się do mnie.

— Czy ty jesteś starostą?

— Tak — odpowiedziałem.

— Czy nazywasz się Rozski?

— Odpowiedziałem twierdząco.

— Dobrze, uprzedzam cię, zresztą i sam pewno wiesz, że G. P. U. żartować i tracić czasu nadaremnie nie lubi, powiedz więc natychmiast, gdzie jest Sirocin? Przygotowując mi bowiem ucieczkę, powinienes wiedzieć, gdzie jest obecnie. Nie staraj się nas przekonywać

o swej niewinności, gdyż wiemy dobrze, jaką rolę w tem odegrałeś.

— Macie teraz dowód, — rzekł zwracając się do czekistów — że nie myliłem się, twierdząc, że Rozskiego zamiast oddawać pod sąd trybunału, który skazał go tylko na pięć lat więzienia, należało rozstrzelać natychmiast. Mojem zdaniem tacy wichrzyciele pokoju naszej republiki są szkodliwsi i niebezpieczniejsi od jakiejkolwiek nawet wielkiej organizacji, która prędzej może być wykryta, jednostce natomiast łatwiej dostać się do najtajniejszych organów ustroju i niszczyć naszą młodą Republikę. Szkoda, że przed sądem nie udało nam się zdobyć o nim tych wiadomości z Ukrainy, ale to nic. Jeszcze nie jest za późno. Widzisz, — rzekł, zwracając się znów do mnie — jak jestem doskonale o wszystkim powiadomiony, wykorzystaj więc moje łagodne usposobienie i wskaż nam natychmiast miejsce pobytu Sirocina.

— Nie mogę...

— A więc chcesz, byśmy ci pomogli? — przerwał z ironją Moskow, rozcinając szpicrutą powietrze. — Lecz uprzedzam, że pomoc nasza będzie bardzo serdeczna.

— Nie mogę, bo nic nie wiem. Czyżbyście przypuszczali, że uciekający z więzienia powie dokąd ucieka, a wreszcie, gdyby nawet powiedział, to wskazałby inny kierunek.

— To ty tak myślisz, a ja jestem innego zdania. Idź ubieraj się, pojedziesz z nami, a tam wyznasz wszystko, jak na spowiedzi; rozbudzenie szczerości w tobie biorę na siebie. Pomyśl, że jesteś w naszej mocy, noc ciemna

i nikt nie usłyszy i nikt się nie dowie o sposobie wydobycia z ciebie prawdy.

Pomimo całego tragizmu położenia, śmiałem się w duszy z ich groźb. Był to już bowiem 1925 rok, a nie 1919 — 1920, w którym przypuszczałem, że i bolszewicy zaczęli się liczyć z prawem i byłem pewny, że po wprowadzeniu instytucji prokuratorskiej, czekałsi nie poważą się pogwałcić obowiązującego prawa ogólnoludzkiego. Ponieważ byłem tylko w bieliźnie, poszedłem do celi ubrać się i wróciłem z dyżurnym do gabinetu.

Wyszliśmy. Przed bramą więzienną oczekiwał samochód, którym powieziono mnie w ciemną przestrzeń nocy. W mrokach ulicy Aleksiejewskiej zarysował się ponuro na tle żółtego, trzypiętrowego domu sztyl, oświetlony światłem czerwonej gwiazdy: „P. P. O. G. P. U. w Azji Środkowej” (Pełnomocne Przedstawicielstwo Zjednoczonego Państwowego Wydziału Politycznego w Azji Środkowej).

Samochód zatrzymał się przy małym domku, stojącym obok głównego gmachu, w którym była kancelaria komendanta G. P. U. Kazano mi wysiąść. W towarzystwie komendanta wszedłem do środka. Komendant Żylin, spostrzegłszy dyżurnego zwrócił się do niego ze słowami:

— Posadzić go, lecz ankiety nie wypełniać i nie wpisywać go na żadną listę. On tu chwilowo — poczem wyszedł.

Dyżurny przeprowadził mnie przez podwórze pod bramę dużego gmachu, strzeżoną przez wartę. Brama otworzyła swe ciemne ramiona i pochłonęła nas. Przeszedłszy przez wąskie podwórze, zeszliśmy po schodach do jasno

oświetlonego korytarza piwnicy, po obu stronach którego były rozmieszczone cele. Dozorca piwnic otworzył jedną z nich i kazał mi do niej wejść. Wszedłem i rozejrzałem się po celi. Było w niej 10 ludzi złożonych z Sartów i Europejczyków. Więźniowie, leżąc na narach, z niepokojem podnieśli głowy, a niektórzy zerwali się z miejsc, patrząc z przerażeniem na nasze sylwetki, rysujące się we drzwiach na tle jasno oświetlonego korytarza. Gdy zatrzaśnięto za mną drzwi i klucz zazgrzytał w zamku, westchnienie ulgi wyrwało się z niektórych piersi. Po chwili z zupełną obojętnością zapytano mnie:

— Za czto? (za co).

Znając z doświadczenia próżną ciekawość i egoistyczne, zwierzęce zadowolenie więźniów, którym zdarzało się spotkać bardziej od siebie skompromitowanego wobec władzy sowieckiej towarzysza, by zgadywać jaki na niego zapadnie wyrok, odpowiedziałem krótko:

— Nie wiem.

Bez słowa dano mi miejsce na brzegu nary. Położyłem się, aby dospać przerwana noc. Zdało się, że właściwie wszystko jedno, w której celi spać. Nie wiem, czy upłynęła godzina, gdy zazgrzytał w zamku klucz... Więźniowie, mający podstawę do obawiania się nocnej wizyty czekistów, a takich była większość, zerwali się z miejsc. Cała ich uwaga zwróciła się na drzwi. Każdy z nich błagał po swojemu Boga, by nie było wymienione jego imię i nazwisko i gdy napreżoną ciszę przerwał dźwięk mego nazwiska, spojrzenia ulgi skierowały się na mnie.

Wstałem, ubrałem się spokojnie po raz drugi i wyszedłem. Wezwano mnie na badanie do wielkiego gmachu, gdzie był Wydział G. P. U. Otworzywszy w korytarzu na parterze boczne drzwi wpuszczono mnie samego do ciemnego pokoju, oświetlonego tylko światłem dalekich latarni ulicznych. W pierwszej chwili zdawało się, że jestem zupełnie sam, lecz, gdy oswoiłem się z ciemnością, dostrzegłem postać kobietę, ubraną w jasną suknię. Kobieta, pochylona nad stołem, drżała: miałem wrażenie, że płacze. Z sąsiedniego pokoju dochodziły głosy. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je. Wszedłszy do następnego pokoju, zauważyłem Moskowa, który jednemu z czekistów wydawał instrukcje i rozkazy, odnoszące się do poszukiwania Sirocina na drogach kolejowych, drugiemu zaś szukania go w mieście i w okolicach. W fotelu siedział Piatniunas, przygotowując fotografie Sirocina i pieniądze na wydatki, związane z poszukiwaniem. Żylin, stojący opodal, zauważył mnie i pytając czego chcę, kazał wyjść. Po wyjaśnieniu, że miałem zamiar zadać im to samo pytanie, wróciłem do dawnego pokoju.

Zostawiłem niedomknięte drzwi. Światło, padające przez szpary zarysowało wyraźnie sylwetkę kobiety, która podniósłszy głowę z przerażeniem spoglądała na mnie, rozszerzonymi i pełnymi łez oczyma. Zrobiła na mnie wrażenie krzywdzonego, zamierającego w ludzkiej dłoni ptaka, który nie mogąc uświadomić sobie całego tragizmu położenia, drży całym swoim biednym, bezsilnie trzepoczącym się w owej chwili sercem. Wyglądała na lat 17. Wtem zatrzaśnięto niedomknięte

drzwi i ogarnęła nas ciemność. Wyraz dużych niebieskich oczu, pełen niemej rozpacz, biednej towarzyszki niedoli był tak wymowny, że mimo ogarniających nas ciemności, widziałem je wyraźnie przed sobą; zadawałem sobie jednocześnie pytanie, co mogło być przyczyną, że to dziewczę z oczyma dziecka znalazło się tutaj. Rozmyślanie przerwało gwałtowne wejście Żylina, który okrzykiem:

— Lewicka! — wezwał ją do gabinetu Moskowa.

Drzwi zatrzaśnięto, lecz z dolatujących oderwanych słów zrozumiałem, że dziewczyna owa była narzeczoną Sirocina, którą niezwłocznie po ujawnieniu jego ucieczki aresztowano, a teraz cynicznemi pytaniami badano, gdzie ukryła swego narzeczonego. Dziewczyna widocznie musiała być bardzo zdenerwowana, bo usłyszałem pytanie Moskowa:

— Czego wy drżycie? Proszę się uspokoić?

A Żylin z całą beczelnością zapewnił ją, że w jego objęciach będzie szczęśliwsza, gdyż nie jest brzydszym od Sirocina, a co najważniejsze, że nie ma w perspektywie wiszącej nad sobą śmierci. Biedactwo coś odpowiadało, lecz tak cicho, że słów dosłyszeć nie mogłem. Wkrótce wezwano mnie. Moskow zwracając się do mnie zapytał:

— Czy ją znasz?

Odpowiedziałem przecząco. Wtedy zwrócił się do niej:

— Czy on przychodził kiedy z Sirocinem do ciebie?

— Nie — odpowiedziała. Tamten był wyższy, teższy i starszy.

— Czy wogóle znasz go?

— Nie.

— Więc zapoznajcie się, bo będziecie sąsiadami.

Po tej krótkiej konfrontacji wprowadzono nas do tego samego ciemnego pokoju. Za ledwie upłynął kwadrans wezwano mnie powtórnie. Gdy wszedłem kazano mi usiąść przy stole, o który oparłszy się stał Moskow. Naprzeciw mnie, paląc papierosa, siedział Piatniunas, za mną zaś stanął Żylin, trzymając dużą, w twardej oprawie, księgę. Po przeciwnej stronie stołu siedział Szyszow pomocnik Piatniunasa, przed którym leżał duży arkusz papieru i rewolwer.

— Słuchaj — zaczął Moskow — chcę cię uprzedzić, że z G. P. U. wogóle, a szczególnie w twojem położeniu lepiej żyć w zgodzie i nie przeciwstawiać się nam. Opowiedz więc szczerze wszystko, a jeżeli ułatwisz nam schwytanie Sirocina, obiecuję zaliczyć cię jako agenta, płacić i wkrótce uwolnić z więzienia.

Radę zgodnego życia z G. P. U. podzielałem, lecz propozycja druga wydała mi się, jako Polakowi, wprost beczelna i nie mogłem jej przyjąć ani rozumem, ani sercem. Gdy odpowiedziałem, że w odszukaniu Sirocina pomóc im nie mogę, gdyż nic o nim nie wiem, a do szpiegostwa zdolnym nie jestem, Moskow spojrział znacząco na Żylin. Chciałem pójść oczyma za jego spojrzeniem, lecz w tej chwili poczułem ciężkie uderzenie w szyję z tyłu głowy tą właśnie księgą, którą Żylin trzymał w rękę. Uderzenie było tak silne, że zaszumiało mi w głowie. Zerwałem się z krzesła, usiłując porwać leżący na stole rewolwer, lecz zanim to zdążyłem uczynić, uderzono mnie czymś w bok

z taką siłą, że padłem na podłogę, skrepowano mnie, posadzono zpowrotem na krzesło, do którego poręczy przywiązano ręce i zaczęto zadawać pytania, nie mające często nic wspólnego z roztrząsaną sprawą. Każda moja odpowiedź doprowadzała ich do wściekłości, to też reago-
wano na nią uderzeniem księgą w szyję. Postanowiłem więc milczeć. Od tych uderzeń miałem straszny szum w uszach, w oczach dwoiło się. Gdy mówiono do mnie, słyszałem, lecz tak niewyraźnie, że z trudem rozumiałem, czego ode mnie chciano. Po pewnym czasie Moskow spojrzał na zegarek mówiąc, że wyjdzie na chwilę. Opuszczając pokój, prosił, by mi pozwolili odpocząć. Po jego wyjściu zwróciłem się do Piatniunasa:

— Za co mnie bijecie? Ja o Sirocinie nic nie wiem, a w tej chwili nie wiem nawet, czego ode mnie żądacie i zamiast znęcać się nade mną dajcie mi arkusz papieru do podpisania, na którym możecie mnie oskarżać o co chcecie. Ja wam nic więcej nie powiem, bo nic nie wiem.

— Gdyby nam zależało na twoim podpisie, mogliśmy go mieć już dawno, ale nam chodzi o Sirocina. Powiedz, gdzie on jest, to przestaniemy cię bić.

— Ależ ja tego nie wiem.

— Zapomniałeś prawdopodobnie, ale to nic. Moskow wróci niedługo i on ci przypomni na pewno, prawda Żylin?

— Ja w tem — odrzekł Żylin z uśmiechem i wyjąwszy z kieszeni słoiczek z kokainą, odsypał trochę na paznokieć dużego palca i wciągnął ze smakiem do nosa.

— Mam nadzieję — mówił Żyliu — że zanim powróci Moskow, on się namyśli, a jeżeli

nie, to ja mu dopomogę, bo ręka mi odpoczęła już trochę. I znów wciągnął drugą porcję kokainy.

Patrząc na szatański uśmiech Żylina, zrozumiałem, że kokaina była im potrzebna do stłumienia w nich tej odrobiny uczuć ludzkich, których, sędzę, nie jest pozbawiony w pewnych chwilach życia nawet najbardziej zwyrodniały osobnik. Myśl, że zażycie kokainy zagłuszy w nim nie tylko wszelkie ludzkie uczucia, lecz poprostu podnieci do szykanowania i dręczenia mnie w dalszym ciągu, wywołała bunt, chęć rzucenia się poprostu na tego zwierza w ludzkim ciele, by on w obronie swego nędznego życia zabił mnie. Lecz niestety, byłem związany, bezsilny. Więc wszystek ból, rozpacz i bezsilność zawarłem w prośbie, by mnie zastrzelili. Piatniunas w odpowiedzi uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

— Nie rób nam pensjonarskich scen, dokuczyły nam one już bardzo. Na wszystko jest swój czas. Gdybym spełnił twoją prośbę i zastrzelił cię tutaj, poplamilibym krwią twoją ten piękny dywan, a od uderzeń po szyi, gdy umyjesz pysk, nie zostanie żadnego śladu.

Teraz dopiero zauważyłem, że skutek uderzeń w szyję sączyła mi się krew z nosa, która spływając zakrwawiła mi koszulę na piersiach. Nie miałem już nic do powiedzenia. Czekałem. Wreszcie wszedł Moskow mówiąc:

— Kwadrans już minął, możemy go badać nadal.

Spojrzałem na wiszący na ścianie zegar, była godzina 4-ta rano. Na dworze zaczynało świtać.

— Czy powiedział coś więcej od tego, co słyszałem? — pytał Moskow.

— Nie — kaprysi jeszcze — odparł Żylin.

— Cóż, Rozski, nie namyśliłeś się jeszcze?

Ścisnąłem zęby i w duszy zacząłem odmawiać Ojcie Nasz, lecz doszedłszy do słów: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...” zamilkłem, nienawiść przemogła i zgłuszyła słowa Boga-Człowieka.

— Jakiś ty niegrzeczny — rzekł Moskow — „Żylin, otwórz mu gębę”!

Żylin wierny swej roli kata nie potrzebował zachęty. Czułem tępe uderzenia po szyi, ale bólu większego już nie odczuwałem. Myśli tylko rwały się i były chwile, że nie widziałem nic wkoło siebie. Z podniesionych głosów moich oprawców wnosilem, że irytowali się — była chwila, że zobaczyłem nachylonego i grożącego mi czemś pod samym nosem Moskowa, lecz co to było — nie wiem, bo w oczach było szaro i widziałem wszystko, jak przez jakąś zasłonę. Wkońcu bić przestali. Piatniunas, wzięwszy wody w usta, bryzgnął mi nią w twarz, a Żylin przyniósł dwa druty, przyłączył je do przewodów elektrycznych. Po chwili poczułem ostry ból. Zrozumiałem, że chcąc wydobyć cokolwiek ze mnie, zadawano mi nowy ból, ból przykry, bo jak zobaczyłem, druty owe były ząbkowane i, dotykając obnażonych rąk, zdawały się skórę z nich zrywać. Dostałem ataku febry. Po pewnym czasie, który wydał mi się wiecznością, Moskow kazał przerwać ów eksperyment z elektrycznością, mówiąc, że z takim uparciuchem trzeba postąpić bardziej surowo. I radził podwiesić...

Widząc bezwzględność tych bestji, wierzyłem, że uczynić to są zdolne. I na myśl, że stać się to może, mrowie przeszło mnie od stóp do głowy. Wolałem raczej śmierć. I postanowiłem nie dopuścić do tego. W jaki sposób nie uświadamiałem sobie narazie, ale w głębi duszy wierzyłem, że może i Bóg, patrzący w me serce, nie dopuści i w jakiś sposób wyzwoli mnie z tej męki... Wreszcie odwiązano mnie, kazano obetrzeć zalaną krwią twarz i podtrzymywanego przez Żylina pod rękę odprowadzono mnie do celi, w której właśnie obudziłem się dziś. Żylin wówczas, odchodząc, rzekł:

— Bądź przygotowany na podwieszenie, bo my nie żartujemy i przyrzeczeń dotrzymujemy.

Zatrzaśnięto drzwi i ogarnęła mnie głucha, straszna cisza. Teraz dopiero uświadomiłem sobie całą grozę położenia. Byłem w ich mocy. Ogarnęła mnie rozpacz. Zerwałem się i w nadziei, że może znajdę jakiś hak, lub klamkę od drzwi, na której mógłbym się powiesić, począłem błąkać się po celi. Niestety, wszędzie ośli zgłę, zimne ściany, nic więcej. Zbliżyłem się do drzwi i zacząłem bić w nie obcasami. Miałem ogromne pragnienie; gorączka mnie paliła, w głowie szumiało. Wreszcie padłem na podłogę i leżałem bez myśli, czucia i woli.

Jak długo to trwało — nie wiem. Wiem tylko, że usłyszałem otwieranie drzwi, w których zobaczyłem dozorcę piwnic. Zapytał mnie, czy chcę jeść. Odmówiłem, prosząc tylko o wodę. W otwartych drzwiach, wychodzących na korytarz, zauważyłem jakiś ruch. Zapytałem co to znaczy. Odpowiedziano mi, że wręczają więźniom przesyłki od rodzin. Teraz dopiero mo-

głem zdać sobie sprawę z czasu spędzonego w ciemnej celi. Przesyłki bowiem w więzieniu zwykle wręczają w środę, a ponieważ w niedzielę wezwano mnie na badanie, więc siedzę już w tej piwnicy, pozbawionej światła, świeżego powietrza i pożywienia całe trzy doby. Dozorca przyniósł mi wkrótce wodę i odszedł. Zostałem znów sam, czekając rychło się drzwi otworzą i oprawcy powloką mnie tam, gdzie miało się stać coś strasznego, coś, przed czym wzdrygała się moja dusza. Nie czułem obawy bólu fizycznego — ten stał mi się już obojętny, było to coś gorszego i cięższego. Była to męka duszy znieważonej, poniewieranej i tak bardzo wobec brutalnej przemocy bezsilnej, przemocy, pod którą nietylko ja jęczę, lecz i miliony nie mających dość szlachetnej odwagi i dumy narodowej, by ją zrzucić z siebie.

Bolesne te myśli przerwało mi wejście do celi Żylina, który odezwał się z całą wrodzoną mu bezczelnością:

— Jakto, wszak tu zupełnie ciemno! Czy to możliwe trzymać człowieka bez światła całe trzy doby! Wszak tu jest mokro. A może i jeść mu nie dawaliście?

Milczałem. Wreszcie zwrócił się do mnie:

— Czegóż ty milczysz? Dlaczego o nic nie prosisz, przecież jest ci tu bardzo niedobrze, możeby można coś poradzić na to? Jeżeli chcesz, to przeniosę cię do innej celi, gdzie będziesz miał światło i nie będziesz sam.

— Jeżeli w waszem towarzystwie — to wolę nie. Nie jestem i tu sam. Mam pełną celę nienawiści do was, a podłość wasza przyświeca mi. Jak śmiesz zwracać się do mnie z troskliwością

i w tonie, który w ustach takiego łajdaka brzmi szyderczo i jadowicie!

Żylin przysunął się do mnie, mówiąc:

— Ja wiem, że nie uważasz mnie za przyjaciela, ale serce mi pęka z żalu, że dotychczas nie jesteś jeszcze podwieszony!

I chciał poklepać mnie po ramieniu. Odtrąciłem jego rękę, wyrażając żal, że nie pochłonęło go dotąd piekło, gdzie oczekują go napewno z wielką niecierpliwością.

— Wierzę w twoją szczerłość i stosunki z djablami i właśnie dlatego przeprowadzę cię do lepszej celi, z podwójnymi drzwiami, gdyż obawiam się, że z tej mogliby cię diabli porwać i tem samem pozbawić nas przyjemności zobaczenia cię podwieszonego. Wychodź!

Poprowadzono mnie korytarzem, w końcu którego były drzwi, wiodące do małej, dwumetrowej celki, z której było wejście przez drzwi żelazne do drugiej większej, położonej niżej od poprzedniej, lecz mającej małe okienko w górze, wychodzące na dziedziniec G. P. U. Zatrzymałem się w drzwiach, z których wionęło we mnie nową grozą, lecz zachęcony przez dozorcę uderzeniem kolbą rewolweru w plecy — wpadłem do drugiej celi, gdyż w ciemności nie zauważyłem trzech stopni, które do niej prowadziły. Za mną wszedł Żylin z dozorcą i jeden przez drugiego zaczęli wychwalać celę, zapewniając, że ten apartament znajduje się na słonecznej stronie, że nazajutrz, gdy się obudzę, zobaczę nie tylko lufy karabinowe, lecz i promienie słoneczne, które przy mojem wążem zdrowiu ochronią mnie od suchot. Nie zdążyłem jeszcze podziękować za troskliwość,

kiedy Żylin, wskazując ręką na sylwetkę siedzącą na narach rzekł:

— Przywitaj się, wszak to twój towarzysz, z którym sądzę dużo będziecie mieli sobie do powiedzenia.

Spojrzałem i zobaczyłem dozorcę z więzienia miejskiego Góreckiego, który niechcący przyczynił się do ucieczki Sirocina, nie zauważwszy go przechodzącego przez mur, którego powinien był pilnować. Przywitałem się z nim życzliwie, ciesząc się, że nie będę sam. Żylin zapewniwszy nas, że tę noc możemy spokojnie spać — wyszedł.

Zostaliśmy sami, dzielając się wrażeniami ubiegłych dni. Okazało się, że Górecki był aresztowany tej samej nocy, kiedy wywieziono mnie z więzienia do piwnicy G. P. U. i badany jednocześnie z tą różnicą, że mnie męczono na parterze, a jego na piętrze i kiedy to Moskow podczas mego śledztwa wychodził z gabinetu na korytarz, okazało się, że chodził właśnie dowiedzieć się o wyniku badania Góreckiego. Biedny Górecki nie wiedział nawet, że jakiś Sirocin istnieje; wkońcu zasnął. Czuwałem. Niepewność spędzała mi sen z oczu, a snu tak bardzo pragnąłem i potrzebowałem. Naprężone nerwy oczekiwały ciągle chwili, w której zazgrzyta klucz w zamku i usłyszę swe nazwisko, wypowiedziane niskim głosem, którego echo rozniesie się pod sklepieniem piwnicy. Bałem się tej chwili i pragnąłem jej jednocześnie, gdyż wyczekiwanie doprowadzało mnie do rozpacz.

Czas włókł się niemożliwie, więc dla skrócenia go zacząłem przywoływać na pamięć wy-

padki ostatnich ubiegłych lat, odkąd po raz pierwszy dostałem się w łapy bolszewików.

Pomimo, że byłem już kilkakrotnie sądzony przez władze sowieckie za przeciwstawianie im się, jednak okoliczności ostatniego uwięzienia były tak wyjątkowe, że poprzednie błądy wobec nich.

Po raz pierwszy byłem aresztowany wraz z ojcem w 1920 r. przez taraszczańskie Czeka. Oskarżono ojca i mnie o działalność kontrrewolucyjną, wyrażającą się powitaniem pułku ułanów polskich, przechodzących na podbój Kijowa, którym siostra moja rzuciła wiązaną kwiatów. Po trzytygodniowym więzieniu zwolniono mnie, ojca zaś zatrzymano. Pragnąc wyrwać ojca z więzienia, zgodziłem się przyjąć zaproponowaną mi przez władze sowieckie posadę, ułatwiającą mi wejście w stosunki, które mógłbym wyzyskać w celu oswobodzenia ojca. Po usilnych staraniach uzyskałem to, że pozostawiono ojca w miejscowym więzieniu, co w każdym razie dawało gwarancję zachowania życia. Więźniowie bowiem zazwyczaj bywali odsyłani do kijowskiego Czeka, a w drodze najczęściej pod pozorem usiłowania ucieczki, bywali przez czekistów w lasku taraszczańskim rozstrzeliwani. Obejmując posadę ekspedytora w wydziale oświaty politycznej uzyskałem po 8-miu miesiącach wypuszczenie z więzienia ojca, którego jako niebezpiecznego dla ustroju sowieckiego wysłano do Białej Cerkwi, oddalęj o 40 km., gdzie pozwolono mu zamieszkać z warunkiem meldowania się co tydzień w czrezwyczajce.

Spełniwszy misję uwolnienia ojca, wniosłem podanie do naczelnika wymienionej instytucji o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska w celu dalszego kształcenia się. Ponieważ zrobiłem to zbyt prędko po wypuszczeniu ojca, a przez to samo zwróciłem uwagę czekistów na przyczynę przyjęcia u nich posady, odmówiono mi zwolnienia i zastrzeżono, że nadal taką chęć będą uważali za sabotaż i zdradę i w końcu 1921 r. wysłano mnie na stanowisko rekwizytora żywności do powiatu. Po jakimś czasie tej pracy zaaresztowano i oskarżono mnie o dyskredytowanie władzy i podburzanie mieszkańców powiatu, bowiem następny rekwizytor bywał przez chłopów przyjęty z bronią i niejednokrotnie cały oddział bywał wyrzynany podczas, gdy mnie wieśniacy bez oporu dawali minimum kontyngentu i zachowywali się zupełnie spokojnie w stosunku do mnie i mego nielicznego oddziału.

W czasie eskortowania do Czeaka udało mi się uciec z pomocą chłopu, u którego nocowaliśmy. Ukrywając się, pracowałem w charakterze technika u znajomego inżyniera, z którym w końcu 1922 wyjechaliśmy na wieś, gdzie niedawno została wykryta organizacja powstańcza. Czeaka oczywiście prowadziło energiczne śledztwo, aresztując winnych i niewinnych. Zaaresztowano więc i mnie. Nie mogąc w ciągu miesiąca dowieść mi żadnej winy, czekista, prowadzący moją sprawę, postanowił ją stworzyć. Pod pozorem uwolnienia mnie z więzienia, z czym często do niego gorąco zwracałem się, zażądał ode mnie łapówki, którą miał być list do mojej siostry wydany mu przeze mnie, z żądaniem oddania swoich brylanto-

wych koleczyków, które mu wielce przypadły do gustu. Pragnąc wydostać się z więzienia, a nie przypuszczając podstępu, wydałem mu żądany list.

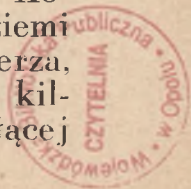
— Teraz jesteś w naszej mocy — rzekł czekista i kazał mnie odesłać do celi.

List, jak się okazało, wręczył natychmiast prezesowi Czeka z oskarżeniem mnie o proponowanie śledczemu łapówki i radził koleczyki skonfiskować, wypłacając przepisową część, a przeciwko mnie wytoczyć sprawę. Wezwano mnie natychmiast do prezesa, u którego przy konfrontacji wykazało się ostatecznie, iż łapówka była nie z mojej strony proponowana, lecz przeciwnie, przez oskarżyciela wymagana. Ponieważ prezes Czeka Kolesnikow był świeżo mianowany i nie znał jeszcze swego personelu, sam się obawiał podstępu z ich strony, więc kazał aresztować czekistę śledczego i nas obydwóch odesłać do Czeka gubernjalnego w Kijowie, gdzie, jak na ironję, posadzono nas w jednej celi i tam w przeciągu 7½ miesięcy poznałem głód i zniewagi, które mimo wszystko były niczem w porównaniu z tem, co przeżyłem w ostatnich dniach. Podczas pobytu mego w tem więzieniu byłem świadkiem bardzo bolesnej sceny, która tak głębokie wywarła na mnie wrażenie, że pominąć jej niepodobna. Otóż wykryto w wyżej wspomnianej wsi przez Czeka organizację powstańczą Ukraińców, z której osądzono na śmierć 96 osób. Przewieziono je do tego więzienia w gmachu byłego gubernatora Kijowszczyzny i zamknięto w celach, których okna wychodziły naprzeciw mojej celi. Widziałem więc przesuwające się cienie ludzkie, słyszałem prośby i przekleń-

stwa, wreszcie w przeddzień egzekucji zobaczyłem w oknie kobietę, trzymającą się kurczowo kraty więziennej, w samej bieliźnie (gdyż skazańcy pozdejmowali wierzchnie odzienie i podarli je, by nie dostało się katowi, który ma do niego prawo, według praw sowieckich). Kobieta owa, wzniosłszy oczy w górę, śpiewała pełnym, głębokim głosem pieśń ginących za wolność Ukraińców. Ponieważ przy oknie nie było wolno stać, więc patrolujący żołnierz kazał jej odejść. Kobieta jednak nie zwróciła uwagi i śpiewała dalej. Żołnierz, rzucając spojrzenia naokoło siebie, chodził nerwowo tam i zpowrotem pod oknami. Po chwili zatrzymał się przed otwartym oknem celi i powtórzył rozkaz. Kobieta kontynuowała pieśń, która wypełniała całe podwórce swym dźwiękiem i odbijała się o mury więzienne, budząc ukryte pragnienie wolności w sercu wartownika, który z determinacją odszedł znów od okna. Zauważywszy jednak kogoś zbliżającego się z władz, zawrócił i grożąc karabinem wołał:

— Zamknij okno, bo strzelać będę.

Gdy i to nie odniosło skutku, przyłożył śpiewać, odjęła ręce od kraty i jednym ruchem obnażyła wysoką, białą pierś, nastawiając ją na cel. Zdrętwiałem, oczekując strzału. Wtem stało się coś nieoczekiwanego: żołnierz, popatrzawszy chwilę w okno, rzucił karabin i, zasłoniwszy oczy ręką, oparł się o stojący pod oknem klon. Nagle wpadł dyżurny Komendant Czeka i, podniósłszy leżący na ziemi karabin, popędził nim przed sobą żołnierza, a na jego miejsce przysłał Chińczyka. W kilkanaście chwil później za plecami śpiewającej



kobiety zjawilo się 2-ch czekistów i chwyciwszy za rozpuszczone włosy, oderwali ją od okna. W nocy odbyła się egzekucja i poranne słońca promienie, wkradłszy się przez otwarte okna, błdziły po ścianach próżnej celi. Wyrwałem się i z tego piekła, pozostawiając w nim czekistę śledczego z jego nieudanemi planami.

W 1923 roku zostałem znowu zaaresztowany przez Czekę za zarzucane mi przestępstwa z czasów rekwizycyjnych, a zarazem podburzających prac w powiecie taraszczańskim, lecz na moje szczęście Czekę była przemieniona już na G. P. U. (Państwowy Urząd Polityczny) i oficjalnie sądzić i rozstrzeliwać bez zarządzeń Moskwy nie miała prawa. Byłem więc oddany i sądzony przez Trybunał, który skazał mnie na 3 lata więzienia. Ponieważ jednak więzienie w Kijowie, t. zw. „Łukjanowka”, wybudowane było tylko na 800 osób, a więziono wówczas koło 4.000, więc władze zarządziły tak zw. „rozgruzkę”, t. j. usuwanie tych, którzy względnie odsiedzieli swą karę i byli „mniej niebezpieczni dla władz sowieckich”, a osadzenie na ich miejsce nowoprzybywających, których wobec czujności i gorliwości czekistów przybywało z każdym dniem więcej i więcej. Tak więc po 11-miesięcznem więzieniu wypuszczono i mnie.

W tym czasie miały wiejsce ciągle powstania Sartów przeciwko Sowietom w Turkiestanie. Wysłano mnie na t. zw. basmaczewskij front (tak nazywano oddziały powstańcze Sartów). Zawdzięczając znajomości z naczelnikiem Wydziału Mobilizacyjnego Lewinsonem w Komisariacie Wojskowym miasta Kijowa, w papierach nie zaznaczono mego pobytu w więzie-

niu, lecz wspomniano tylko, że wysłano mnie w celu ukompletowania pułków bojowych. Nie dostałem się jednak na front, lecz po przyjeździe do Taszkientu zostałem przydzielony do 4-go pułku strzelców turkiestańskich w mieście, a ponieważ znałem służbę wojskową, bo byłem w korpusie kadetów, więc mianowano mnie plutonowym.

Dawno już pragnąłem pomścić śmierć ojca, straconego przez bolszewików, lecz dotąd nie mogłem uchwycić odpowiedniej chwili. Teraz właśnie nadarzała się doskonała sposobność, miałem cały pluton, a że do moich planów potrzebowałem zaledwie kilku pewnych osób, więc miałem z czego wybierać i wybrałem, ale niestety źle. Chociaż wymieniony pułk kwaterował w Taszkiencie, jednak obowiązkiem jego było pilnowanie mostu kolejowego przez rzekę Syr-Darja, leżącego w odległości 60 kilometrów od miasta. W tym celu bywał naznaczony przez dowództwo pułku pluton żołnierzy, zmieniający się co miesiąc. W tym czasie w okolicach wschodniej Buchary prowadził walkę przeciwko bolszewikom były komisarz bolszewicki i były oficer wojsk carskich Wasiliew. Miał on pod swoim dowództwem około 500 ludzi, złożonych z Sartów, Tadżyków i Rosjan. Jakkolwiek siły te nie były tak wielkie, by mogły z bolszewikami zbyt długo walczyć, jednak pragnienie wydostania się z pod władzy Sowieków nasunęło mi myśl, aby rozbroić wartę pilnującą mostu i przedrzeć się do oddziału Wasiliewa. Nawet w razie porażki tego oddziału miałbym możliwość wraz z oddziałem powstańców uciec za granicę. W tym celu wybrałem 4-ch żołnierzy, którym zdawało się mogłem zu-

pełnie zaufać i, korzystając z okazji pełnienia warty na moście przez pluton z mojej kompanji, postanowiłem przeprowadzić swój plan, który przygotowałem w następujący sposób. Na kilka dni przed zamachem wziąłem 2-ch spiskowców i pojechałem z nimi na most. Żołnierze, pełniący służbę w owej chwili na moście, znali mnie jako oficera kompanji, nie czynili mi więc przeszkód. Obecność swoją na moście usprawiedliwiłem chęcią obejrzenia miejscowości w celu przygotowań do mającego się odbyć w najbliższych dniach polowania garnizonu na dziki, których w tej okolicy było bardzo dużo. Na moście były dwa posterunki, z których jeden, tak zw. ruchomy, znajdował się przy wjeździe na most z prawego brzegu rzeki, pilnując jednocześnie i koszar, drugi zaś był umieszczony na drugim brzegu rzeki w odległości prawie jednego kilometra. Spędziwszy jedną noc w koszarach dla ludzi pilnujących mostu, zauważyłem z radością, że warta nie pełni służby dość gorliwie, gdyż komendant warty i następująca zmiana, spuściwszy się całkowicie na wartownika przy lewym wjeździe na most, zamiast czuwać, spali najsmaczniejszym snem. Koszary nie były zamykane, więc z łatwością można było wejść do nich, zabrać z izby dyżurnej broń, a tych 20-tu żołnierzy związać. Spostrzeżenia te dawały mi otuchy i wiary w pomyślne przeprowadzenie planów zamierzonych, gdyż konie pod wierzch można byłoby wziąć z sąsiedniego kiszłaku (wsi). Nazajutrz dowiedziałem się, że naczelnik garnizonu ma zamiar pojechać wraz z nami na kilka dni do Taszkientu, więc trze-

ba było się śpieszyć i wykorzystać jego nieobecność na moście. Wróciwszy do Taszkientu wieczorem, po ćwiczeniach zebraliśmy się i postanowiliśmy wyjechać na most nazajutrz o godzinie 8-ej wieczorem. Każdy z nas z zapalem myślał o upragnionej, a tak ryzykownej wycieczce, a jeden ze spiskowców — Dudkin, niezwykle zapalony gorąco namawiał aby przyspieszyć wykonanie planu bezapelacyjnie zgadzając się na wszystko cokolwiek w tej sprawie wypowiadałem. Zaniepokoiło mnie to trochę, lecz odpędziłem myśl o nieszczerości i zaopatrzywszy się w broń palną, busolę, mapę i piroksylinę, którą w razie potrzeby moglibyśmy wysadzić most kolejowy i tem samem przerwać połączenie między wschodnią a zachodnią częścią Turkiestanu. O godzinie 8-ej wieczorem 8 marca byliśmy w pociągu, zdążającym w stronę mostu. Wszystko, prócz piroksyliny i rewolweru, oddałem towarzyszom. Ponieważ pociąg zatrzymywał się na stacji o 4 kilometry przed mostem, musieliśmy wysiąść na tej stacji. W drodze wszedł do naszego przedziału jakiś cywil i, zajmując miejsce obok nas, wtrącał się raz po raz do rozmowy. Rozmawiając na inne tematy, chwaliłem trwałość swoich butów, uszytych z prawdziwego polskiego chromu, który przywiozłem z Ukrainy i noszę już drugi rok bez naprawy. Ów jegomość dotykając się cholewy rzekł:

— Przenosisz jeszcze z 10 lat.

Nie zrozumiałem wtedy złośliwości jego słów, bo jak się okazało później ów jegomość był czekistą, wysłanym specjalnie dla śledzenia nas. Dojechawszy do stacji Czinaz, o której wspominałem wyżej, udaliśmy się dalej

pieszo i z wielką ostrożnością przybyliśmy do mostu. Podszedłem cicho do budki, którą należało opanować przede wszystkim, siedział w niej bowiem wartownik i było tam połączenie sygnalizacyjne z izbą dyżurnych. Wyprowadziłem wartownika z budki i rozmawiając z nim doprowadziłem go do ukrytych spiskowców, z pomocą których rozbroiliśmy go, związali, a następnie zatknawszy usta chustką, wrzuciliśmy w krzaki. Droga na most była wolna. By dostać się do izby dyżurnych, należało jeszcze rozbroić drugiego wartownika, stojącego przy drugim końcu mostu. Przez cały most mieliśmy drogę wolną, lecz, doszedłszy do budki posterunku, nie znaleźliśmy ani przed ani w niej nikogo. Przypuszczając, że wartownik poszedł do wartowni, by spojrzeć na zegar, jak to oni zwykle czynili, spodziewając się go łada chwila, chciałem zrobić na niego zasadzkę, lecz po chwili zostaliśmy otoczeni przez żołnierzy, którzy, jak się wkrótce okazało, byli uprzedzeni i przygotowali nam odpowiednie do naszych zamiarów przyjęcie. Wyjawszy rewolwer, kazałem towarzyszom krwając się za belkami i ostrzeliwując się cofać się z mostu. Ale, gdy wymierzyłem rewolwer w jednego z najbliższych stojących mnie ludzi, zdrajca Dudkin uderzeniem lufą karabinową w rękę wytracił mi rewolwer. Towarzysze, widząc mnie rozbrojonego przez jednego z naszych, byli tak oszołomieni, że na rozkaz:

— Rzuć broń, bo strzelamy, machinalnie rozkaz wykonali.

Stało się wszystko tak szybko, że nie pozostało mi nic innego, jak oddać się losowi i ko-

rzystając z ciemności wrzucić piroksylinę, któraby jeszcze więcej obciążyła nasze winy, do rzeki. Schwytano nas, zrewidowano, potłuczono trochę, a w drodze do stacji kolejowej kilkakrotnie odprowadzano mnie na stronę i pod grozą natychmiastowego rozstrzelania wypytywano, co wrzuciłem do rzeki. Przywieziono nas do Czeka kolejowej w Taszkencie, a nie mogąc się dowiedzieć niczego więcej, zmuszeni byli zadowolnić się tem, co już wiedzieli od Dudkina. Odesłano nas stąd do dyspozycji Czeka kraju Turkiestańskiego.

Miało nas sądzić Czeka zaocznie w Moskwie, lecz władze wojskowe zwróciły się do czekistów z propozycją osądzenia nas dla przykładu sądem polowym wobec garnizonu.

Bolszewicy, utrwalający swą władzę terrorem, chcieli wykorzystać nasz proces, jako przykład, czekisci zgodzili się więc na odstąpienie naszego życia do dyspozycji Trybunału Wojskowego, który miał z wielką pompą urządzić proces i stracenie. Miało się to odbyć w maju. Tymczasem nieoczekiwanie wypadły manewry, wojsko wyjechało na poligony, nie było więc dla kogo urządzać widowiska. Trybunał krótką rozprawą w zwykłych warunkach skazał nas na 5 lat więzienia z pozbawieniem praw, których właściwie tam niema. Takim sposobem umknąłem krwiożerczym instynktom Czeka, a na prawach bolszewickich niewiele mi zależało.

Prawo i wolność! Jak pięknie brzmią te słowa, lecz nie ich miejsce w Bolszewji, gdzie setki tysięcy ludzi jęczy pod brzemieniem wolności Socjalnej, pod gwałtem bezprawia i niepewności jutra!

Wspominając czasy, gdy prawo było szanowane i strzeżone jako obrona krzywdzonych, a tem samem błogosławione przez Boga, Dawcy praw najwyższych, bo wypływających z 3-ch pierwiastków: sprawiedliwości, miłości i miłości bliźniego — zasnąłem.

...Przebudziłem się. Zerwałem się z nar. W pierwszej chwili, jak to zwykle bywa po ciężkim śnie, nie mogłem sobie uświadomić, gdzie jestem, lecz, ujrzawszy światło dnia w okienku, uśmiechnąłem się do niego. Obiecywał mi dzień pokoju, czekałsi bowiem pracę swą rozpoczynają z nastawianiem mroku. Przed południem byłem wezwany do czekisty śledczego Szyszowa, który wypytywał mnie, czy mam krewnych lub bliskich w Taszkencie. Oczywiście odpowiedziałem przecząco, gdyż przekonany byłem, że pytano mnie w tym celu, by ich zaaresztować. Po spisaniu protokołu kazał mi go podpisać. Podpisu odmówiłem stanowczo, mówiąc, że podpiszę tylko wtedy, gdy będzie w nim opisany szczegółowo przebieg badania i znęcania się nade mną, albo będzie przy tem obecny prokurator wojskowy, którego proszę wezwać wobec tych oto świadków, wskazując na obecnych przypadkowo w komendanturze jakichś interesantów. Obecność ich właśnie dodała mi odwagi do powiedzenia tego. Chociaż Szyszow był obecny przy znęcaniu się nade mną w tę pamiętną noc, lecz bezczelnie udał zdziwienie i, oglądając się na obecnych, mówił, że to niemożliwe, bo oni nie tylko nie biją, lecz nawet do odpowiedzi oskarżonych nie zmuszają, i, nie chcąc dopuścić do wypowiedzenia przy świadkach całej prawdy, kazał odprowadzić mnie natychmiast

do celi, zabierając niepodpisany protokół. Teraz dopiero zrozumiałem, że niepotrzebnie uniosłem się, bo w rezultacie oprócz ich podrażnienia nic dobrego nie zyskałem, ale z drugiej strony, z pewnem zadowoleniem myślałem o tem, że powiedziałem im trochę prawdy przy obcych, znajdujących się przypadkowo podczas naszej rozmowy.

Znów w celi, znów zbliża się noc, znów zbliża się praca czekistów. Niepewność jutra poczęła nas niepokoić. Przeczucia nie omyliły mnie. O godzinie 12-ej w nocy sen nasz przerwał zgrzyt klucza w zamku, który w ciszy piwnicznej wydał się tak przykrym, tak rozdzierającym serce, że poprostu doznałem fizycznego bólu w piersiach. Słyszałem najwyraźniej, że zgrzyt ów szedł od drzwi naszej celi, lecz wmawiałem w siebie, że to nie u nas, że to dzieje się gdzie indziej poza mną..., lecz za chwilę drzwi otworzyły się i w ciemnościach usłyszałem dźwięk swego nazwiska, którem szczyciłem się zawsze, a teraz zdawało mi się obcem, a nawet złowrogiem, tak dziko brzmiało ono w ustach czekistów. Dźwięk ten odbił się o oślizgłe ściany i zamarł. Przez chwilę zdawało mi się, że był on echem moich chorych, zmęczonych nerwów, lecz, niestety, nie! Na tle światła, wpadającego przez uchylone na korytarz drzwi mej celi ujrzałem czekistę, który powtórzył moje nazwisko.

Co było począć? Nie iść? Związać i powloką dokąd zechcą. A więc co? Wyrwać chyba deskę z nary, napaść na czekistę, który w obronie swego życia zamknawszy drzwi celi, pójdzie po pomoc, a podczas jego nieobecności powiesić się i tym sposobem uniknąć podwie-

szenia i znęcania się nade mną. Wszystkie te myśli przeleciały lotem błyskawicy przez moją zgorączkowaną głowę, a po nich przyszła nowa fala... Czy miałem prawo nie ufać miłośdździu Bożemu? Czy powinienem unikać i walczyć przeciw temu, co Bóg w swej wielkiej miłości i dobroci mi przeznaczył? Za co? Czy mam prawo o tem rozmyślać... A więc niech będzie wola Twoja — pomyślałem w duszy.

Wstałem, ubrałem się i spokojniej już wyszedłem. Górecki, zegnając mnie wymownem spojrzeniem, rzucił głosem mocnym:

— Któryś z nas napewno zostanie przy życiu, a więc prawda kiedyś będzie wyjawiona i pomszczona.

Wprowadzono mnie do gabinetu Żylina, który, siedząc na biurku, czekał widocznie na mnie. Trzymał w ręku jakiś kwit, napisany zielonym atramentem. Obok niego stali dwaj barczyści czekaści, ubrani po cywilnemu. Żylin spojrzał na mnie i ze swym wiecznie igrającym na ustach słodkim uśmiejchem, zapytał bardzo uprzejmie, czy nie dokucza mi ból w karku, a gdy odpowiedzi nie usłyszał, dodał, że odśyła mnie na badanie. Zwróciłem mu uwagę na późną godzinę, lecz on znów z tym samym uśmiejchem odpowiedział, że u nich godzin późnych niema, że właściwie uważa ten czas za najodpowiedniejszy „do tego”. Co on pod temi słowami miał na myśli, nie wiedziałem. Wręczył kwit czekistom, którzy wyjąwszy rewolwery poprowadzili mnie przed sobą ciemnymi ulicami, ale dokąd, było to dla mnie tajemnicą, jak również i to, co zawierał ów kwit. Zresztą, gdybym nawet wiedział, cóż mógłbym

uczynić? Byłem bezbronny, a więc w ich mocy, przytem czułem się tak osłabiony i zmęczony fizycznie i duchowo, że nie miałem po prostu więcej sił myśleć. Szliśmy dość długo i dotąd nie mogłem sobie uświadomić, w której dzielnicy miasta jestem. Po chwili doszliśmy do rogu ulic, gdzie zobaczyłem ogromny szyld wojskowego składu amunicji. Teraz dopiero zorjentowałem się, że byłem już na krańcu miasta, przy zbiegu ulic Woroncowskiej i Ikańskiej. Była to dzielnica podmiejska, posiadająca piękne wille i ogrody i choć ulica pogrążona była w gęstym mroku 100-letnich dębów, poznałem ją doskonale, bo znałem i lubiłem ją bardzo. Spytałem czekistów dokąd mam iść teraz, czy na prawo, czy na lewo, bo ulice rozchodziły się.

— Pokaż mu — rzekł Kałasznikow do czekisty Wawilina i... usłyszałem suchy trzask oraz uczułem uderzenie w tył głowy. Upadłem. Na razie nie wiedziałem, co się stało? Czy strzelono do mnie? Dlaczego? Poco? Tego nie spodziewałem się wcale. Przecież prowadzono mnie na badanie. A może stało się to przypadkowo? Wszystkie te pytania zawirowały w mej głowie z szybkością kuli, która, uderzywszy w szyję, przeszła pod czaszką i wyszła przez prawy policzek. Wślad za wystrzałem usłyszałem gwizdki policyjne. Pozornie cicha i uśpiona ulica zaroila się ludźmi. Była cudna czerwona noc i choć było już po 12-ej, jednak w cieniu drzew siedziało jeszcze dużo nie zauważonych przez czekistów ludzi, którzy na odgłos strzału zbiegli się i otoczyli nas dokoła. Zarzucano pytaniami:

— Za co, kto, kogo zabił?

Czekiści poinformowali najspokojniej zebraną gawiedź i policję, że schwytali zbiega szpiega Sirocina i w pogoni postrzelili go (faktycznie mnie, a nie tamtego). Mimo przestrzełonej głowy i szczęki przytomność nie opuściła mnie ani na chwilę. Słyszałem i rozumiałem wszystko, co koło mnie się działo. Bólu wielkiego nie odczuwałem, ale pomimo to zdawało mi się, że to ostatnia moja chwila. Było mi niesłychanie ciężko i smutno: — Dlaczego oni tak kłamią? Dlaczego nie mają odwagi przyznać się do zbrodni, dlaczego ukrywają moje nazwisko, zapewniając z całą bezczelnością zgromadzonych, że to nie ja leżę w kałuży krwi, lecz Sirocin. Co za ironja! Sirocin wolny, poza granicami Rosji prawdopodobnie, a więc szczęśliwy. Uciekł z tego piekła, a co się ze mną za chwilę stanie? Czy dobiją, czy znów wrzucą do piwnicy? Oburzenie, bezbronność wobec przemocy, rozpacz dodały mi sił. I kiedy czekał ten, który strzelał do mnie, po raz drugi powtórzył to bezczelne kłamstwo, zebrałem wszystkie siły, uniosłem się na rękach i krzyknąłem:

— Nie wiercie im, oni łżą. Obywatele, zabijają mnie umyślnie, dajcie znać prokuratorowi wojskowemu, że jestem nie Sirocin, a Rozski.

Wtem przyłożono mi do skroni rewolwer i nim zdążyłem odchylić od niego głowę, usłyszałem suchy trzask i druga kula przebiła mi głowę... Upadłem na twarz, lecz przytomność i teraz nie opuściła mnie jeszcze. Przygotowywałem się w duszy na śmierć. Całe moje życie, wszystkie radości i smutki, upadki i wzloty — wszystko ze szczegółową dokładnością przesu-

nęło się przed oczyma duszy. I było mi dziwnie spokojnie i cicho. Jak przez sen słyszałem głosy czekistów, poirytowanym głosem rozpędzających tłum uliczny. Potem poczułem, że przewrócono mnie, wzięto za puls i nadśluchiowano, czy żyję jeszcze. Całą siłą woli wstrzymałem oddech, co oczywiście utrudniło im dosłuchanie się bicia serca. Jeden z nich, Kałasznikow, trzymając mnie za puls, — zwrócił się do towarzysza, że ani oddechu, ani pulsu wyczuć nie może, a ciało jednak jest ciepłe i gibkie, jak u człowieka żywego.

— Cóż ty głuptasie myślisz, że z dwiema kulami we łbie żyć można? A że ciało jest ciepłe, to zrozumiałe, przecież to czerwiec, a nie grudzień! Zresztą uderz go pięścią w brzuch — jeżeli żyje, to westchnie.

Kałasznikow zastosował się do rady Wawilina i polecenie jego skwapliwie wykonał. Krew, nagromadzona po pierwszej ranie w ustach, wyrwała się razem z powietrzem z piersi, chlustnęła, jak fontanna, zabryzgując twarz pochylonego nade mną czekisty. Kałasznikow, zobaczywszy krew, widocznie się ucieszył, bo, wycierając rękawem twarz, wykrzyknął:

— Skoro krew rzuciła mu się z gardła, to znaczy, że nie żyje.

— A teraz zawezwij pogotowie — dodał Wawilin.

Z temi słowy oddalili się ode mnie trochę. Słyszałem ich rozmowę z policją. Jednego z policjantów posłali do telefonu w celu wezwania pogotowia, z drugim natomiast rozmawiali na temat drożyzny, ciężkich czasów, źle wynagradzanej pracy, chcąc wywołać narzeka-

nie na ustrój sowiecki, a to pewnie w tym celu, by przy okazji zbadać usposobienie i nastroje obywatela sowieckiego kraju i o ile oczywiście nie odpowiadałyby ich ideałom, uczynić go „nieszkodliwym” w przyszłości.

Leżałem nawznak pod drzewami. Wiedząc, że jestem sam, otworzyłem oczy i mimowoli wzniosłem je w górę. Przez gałęzie drzew spływało światło księżyca i oblewało całą ulicę. Była to jedna z tych cudnych nocy srebrzystych, która, zdawałoby się, prócz tęsknoty za czymś niewiadomem i niewytłumaczonego często, pięknego smutku — innych uczuć wzbudzać w sercu człowieka nie powinna. I ogarnął mnie żal do tych ludzi, nie umiejących odczuć, zrozumieć przemawiającego tak wymownie czaru przyrody, którzy zamiast całem sercem wielbić Stwórcę tych cudów, obrażają go zbrodnią, popełnianą w tej chwili. Byłem zupełnie przytomny, lecz jednocześnie miałem uczucie rozdwojenia. Traciłem chwilami poczucie rzeczywistości i zdawało mi się, że nie leżę na ziemi, lecz unoszę się na skrzydłach jakiegoś olbrzymiego ptaka, który, szybując w powietrzu, dziwnie mnie ukołysał, unosząc się coraz wyżej i wyżej. Byłem pewny, że umieram. O, jak dziwnie piękna była ta chwila. Ogarnęła mnie zupełna cisza i obojętność na wszystko, co mnie otaczało. Jak długo to trwało nie wiem. Moje czarowne zasypianie przerwał jakiś turkot. Nie mogłem sobie uświadomić, co by to być mogło. Lecz gdy światło reflektora rzuciło snop promieni na moją głowę, oprzytomniło mnie to zupełnie, zrozumiałem, że to był turkot samochodu. Było to pogotowie. Szmer ucichł, ktoś wysiadł i, zbliżywszy się,

ujął mnie za rękę. Ciepłe i miękkie dotknięcie czyjejs ręki natchnęło mnie nadzieją, że może ta istota wyrwie mnie z rąk tych zwierząt i uniósłszy stąd pozwoli w ciszy i spokoju, choć zdala od swoich, życie po chrześcijańsku zakończyć. Po chwili poczułem, że lekarz puścił moją rękę i zwracając się do czekistów, rzekł:

— On nie żyje, a pogotowie ratuje tylko żywych.

Słowa te były dla mnie wyrokiem. W pierwszej chwili chciałem okazać, że żyję, powiedzieć wszystko, co się przed chwilą stało, że nie chcę umrzeć na bruku, że pragnąłbym choć w ostatnim momencie mego życia nie widzieć tych ludzi, którzy tak nieludzko znęcali się nadę mną. Lecz jedno słowo moje spowodować mogło nowy strzał. A tak chciało się spokoju. Zanim jednak zdążyłem zdecydować się i usta otworzyć, lekarz rzekł:

— Moja misja skończona.

Czekiści wyjaśnili, że im nie chodziło o zabranie przez pogotowie mego ciała, lecz zależało im tylko na tem, aby lekarz stwierdził moją śmierć. Pogotowie odjechało, odbierając mi tę resztę nadziei, jaką jeszcze miałem. Czekiści poszli po dorożkę. Zastanawiałem się dokąd mnie powiozą. Jeżeli za miasto do uprzednio przygotowanego dołu, trzeba będzie się odezwać, by dobito, bo przecież żywym pogrzebać się nie pozwolę... Podjechała dorożka. Jeden z czekistów, wzięwszy mnie za nogi, powlókł ku dorożce, drugi zaś schwycił za ręce, wrzucił na jej dno. W drodze dopiero poczułem przeraźliwy ból w głowie, która, nie mając oparcia, trzęsła się w miarę podskakiwania powozu po nierównym bruku ulicy. Popękane

szczęki szarpały ciało. Chciałem zacisnąć zęby, lecz szczęki odmówiły posłuszeństwa. Słyszałem, jak czekałsi kazali jechać do trupiarni przy miejskim szpitalu. A więc wiozą mnie do trupiarni, a nie do dołu! Myśl ta wydawała mi się szczęściem: wolałem znaleźć się między umarłymi, aniżeli być dłużej pod opieką czekistów. Pomimo dotkliwego bólu w głowie, myślałem jednak przytomnie. Zastanawiałem się, co mam uczynić, gdy przywiozą mnie na miejsce. Przyszło mi na myśl, że gdy czekałsi zostawia mnie w trupiarni, ja oczywiście, dłużej już symulować nie będę, nie starczy zresztą już sił, zacznę wołać o pomoc, a gdy ta nadejdzie, cała sprawa zaraz się wyjaśni. Chodziło mi bardzo o to, by jak najprędzej można było zawiadomić prokuratora wojskowego o Góreckim, który najniewinniej jeszcze siedział w piwnicy G. P. U. i oczekiwał go być może mój los, a następnie myślałem już o sobie. Czyż mogło mnie umierającego cokolwiek uratować? Liczyłem na parę godzin życia. Myśli te podniecały i podtrzymywały moje nerwy i siły i choć cierpiałem bardzo, jednak całą siłą woli czuwałem, by nie jęknąć, a tem samem uniknąć trzeciej kuli, która niechybnie mnie czekała. Wreszcie dorożka zatrzymała się. Chwilę stała, czekając widocznie na służbę, która miała mnie przyjąć. Z prowadzonej rozmowy zrozumiałem, że szukają dozorczy i kłucza od trupiarni. Wreszcie poczułem rażące światło pod powiekami. Widocznie chciano się przyjrzeć temu rzekomemu bandycie i zaświecono mi w oczy latarnią. Ból okropny głowy wytrzymałem, lecz tego światła oczy moje, przywykłe od dłuższego czasu do ciemności,

wytrzymać nie mogły — powieki drgnęły i zdradziły życie... Jakaś kobieta krzyknęła:

— On żyje jeszcze.

Później poczułem dotknięcie ręką arterji na szyi i usłyszałem powtórzony przez kobietę okrzyk. Wiedząc, że oprócz czekistów jest jeszcze ktoś więcej przy mnie, najspokojniej otworzyłem oczy i rozejrzałem się wkoło. Zobaczyłem, że dorożka otoczona była ludźmi. Najbliżej mnie stała pielęgniarzka z latarką w ręku i, pochyliwszy się nade mną, przyglądała mi się uważnie. Oprócz niej było kilku policjantów, służba szpitalna i jeszcze jacyś ludzie. Na te słowa jeden z czekistów wyjął rewolwer i kierując go w moją twarz, ze słowami:

— Trzeba go dobić, by nie męczył się i do trupiarni — chciał strzelić, lecz sanitariuszka machinalnie zasłoniła mnie sobą.

Jeden z obecnych posterunkowych skoczył bliżej i schwyciwszy Kałasznikowa za rękę krzyknął:

— Towarzyszu, wszak tu szpital, nie piwnica G. P. U. i z chwilą, kiedy go tu przywieźliście, on nie należy już do was, lecz do szpitala. Wasza rola już się skończyła.

Rozpoczęła się kłótnia. Kałasznikow groził policjantowi aresztem za opór władzy. Pogróżka ta podziałała widocznie, bo posterunkowy łagodniejszym już tonem oświadczył, że nie zdarzyło mu się słyszeć, by człowieka ранego dobijano, bowiem prawo nawet wskazuje chorego najpierw wyleczyć, a następnie, jeżeli należy, rozstrzelać. I nie wiem czemu się ta sprzeczka skończyła, gdyby nie doktor, który zaalarmowany hałasem nadszedł w tej chwili.

Zbliżył się do mnie i, dotknąwszy mej głowy i pulsu, rzekł:

— Chory żyć nie będzie, rany są śmiertelne, a że mruga powiekami, to zupełnie zrozumiałe — źrenice reagują na światło.

Czekiści, usłyszawszy orzeczenie lekarza, uspokoili się zupełnie. Wręczyli jakiś kwit lekarzowi i kazali zabrać mnie z dorożki. Zdjęto więc mnie, położono na nosze i zaniesiono do sali operacyjnej. Myślałem, że czekistów już niema, dodała mi tyle siły i energji, że, gdy mnie rozbierano, usiadłem i już chciałem zacząć opowiadanie, gdy doktor zamknął mi ręką usta, grożąc, że będzie zmuszony, jeśli nie zamilcze przy opatrunku, usta mi zawiązać. Rad nie rad musiałem opowiadanie odłożyć. Położył mnie na stół operacyjny, obmyto, nałożono opatrunek i w chwili, gdy miano mnie zdejmować ze stołu, wszedł felczer szpitalny, zwracając się do doktora ze słowami:

— Naczsocz.

W Rosji istnieje taka moc fantastycznych skrótów, że nawet Rosjanie nie znają ich wszystkich. Ponieważ i doktor nie znał tego skrótu czrezwyczajki, więc powiedziałem, że „Naczsocz” oznacza naczelnika sekretnej operacyjnej części G. P. U. i jednocześnie zapytałem o co chodzi, bo zbyt dobrze znałem ten skrót i zaniepokoiłem się straszliwie, tem bardziej, że felczer trzymał w ręku jakiś kwit. Okazało się, że był to ten sam, napisany zielonym atramentem kwit, który Żylin wydał czekistom w komendanturze G. P. U. przy wyprawianiu mnie na miasto. Był on tej treści: „Przesyła się ciało zabitego szpiega Sirocina

podczas schwytania go. Sprawa sekretna". Boże więc dotąd jeszcze jestem Sirocin!

— Panie doktorze, to nieprawda, ja jestem Rózski, a nie Sirocin. Sirocin uciekł z G. P. U. Opowiedziałem wszystko, prosząc o powiadomienie prokuratora wojskowego. Opowiadanie wyczerpało mnie i straciłem przytomność. Gdy odzyskałem przytomność, zobaczyłem, że leżę na łóżku w korytarzu szpitalnym. Oczekiwano widocznie mej śmierci lada chwila, skoro mnie tu położono.

Lecz nie sądzone mi było umrzeć. Rany zagoiły się, żyję, i przypominam sobie przeżycia, które pozostawiły niezatarte dotąd ślady na fizycznej i duchowej organizacji mego „Ja”.

Łóżko moje stało nawprost wielkich szeroko otwartych, szklanych drzwi, przez które wpadały całe snopy promieni słonecznych, zalewając mnie i całą ścianę. Czulem się bardzo zmęczony i teraz dopiero ciężko chory. Ale jakże kojąca, jak radosną była myśl, że jestem w szpitalu pod opieką ludzi dobrych. Miałem tyle dobrych uczuć dla nich i tyle wielkiej, niewypowiedzianej wdzięczności dla Boga, który w tak niezwykły, niemal cudowny sposób pozwolił mi jeszcze dziś zobaczyć słońce i cieszyć się niem, to słońce, które tak bardzo kochałem, a za którym tak strasznie w więzieniu tęskniłem. Kiedy podszedł do mnie posługacz, zakomunikował mi, że pragnę się widzieć z doktorem. Po chwili doktor przyszedł. Zapytałem, czy zawiadomiono prokuratora. Odpowiedział mi niepewnie, poprosiłem go więc jeszcze raz o to. Przyrzekł mi, że poprosi go natychmiast telefonicznie i od tej chwili z niecierpliwością wyglądałem przyjazdu prokuratora. Wszystkie

moje myśli skierowały się na upragniony moment wyjawienia całej męczącej nieprawdy. Była godzina 8 rano. Przyniesiono mi kubek herbaty i w chwili, gdy wlewano mi ją do ust, usłyszałem głos syreny samochodowej, a niedługo potem samochód zajeżdżający przed szpital. Czyżby to prokurator tak szybko przyjechał? — pomyślałem. Z trudem podniosłem głowę i zobaczyłem w samochodzie trzech ludzi w czerwonych czapkach G. P. U. Samochód zatrzymał się przed głównym wejściem do szpitala. Czekiści wysiedli i zniknęli za drzwiami.

Co to znaczy? A może dowiedzieli się już, że żyję i przyszli zakończyć tę tak niezwykle denerwującą ich sprawę? Po chwili skierowali się ku drzwiom, przez które doskonale mogłem ich widzieć. Za nimi szedł doktor, który, wyprzedziwszy ich o parę kroków, stanął we wrzwiach, pytając czego sobie życzą. Odpowiedzi czekistów nie dosłyszałem, lecz doszły mnie słowa doktora, który rzekł:

— Jestem dyżurnym lekarzem i odpowiadam za wszystkich bez wyjątku chorych, znajdujących się w tej chwili w szpitalu. Rannego wydać nie mam prawa i nie wydam stanowczo, tem więcej, że jest ciągle nieprzytomny i stan jego jest beznadziejny.

Żylin, gdyż to on był właśnie, spojrzał bezczelnie na doktora i rzekł:

— Towarzyszu, czy nie wiesz kto my jesteśmy? Odejdź natychmiast!

— Ustąpię przed przemocą tylko — rzekł doktor — inaczej nie! Wiem bowiem dobrze, że gdybym go wam wydał, a on umarłby w drodze, zaaresztujecie mnie za przekroczenie przepisów. Nie wchodzę w to w jakim celu chcecie

go zabrać, lecz obowiązkiem moim jest postąpić tak, jak mi nakazuje honor lekarza i przepisy szpitala i powtarzam jeszcze raz, że rannego nie wydam.

— Zdaje mi się — rzekł Żylin — że ty sam odprowadzisz rannego do piwnicy i zamieszkas z nim razem w celi. Odejdź, bo zabierzemy i ciebie!

Sprzeczką tą była niewypowiedzianie przykra i kto wie, czy nie skończyłaby się zwycięstwem czekistów, gdyby nie wmieszanie się osoby trzeciej, która niespodziewanie nadeszła. Kto to był dojrzeć nie mogłem, gdyż stojący we drzwiach doktor zasłaniał mi widok. Po chwili usłyszałem pytanie:

— O co chodzi?

— A, szacunek prokuratorowi! Cóż tak rano sprowadziło go do szpitala?

— Mnie to nic dziwnego, lecz co tu robi szanowny komendant po wschodzie słońca?

— Właśnie dokończam pracy, prokuratorze. Sprowadziło nas nieszczęście. Ubiegłej nocy przyłapano postrzelonego szpiega. Uważając go za umarłego przewieziono go do trupiarni, lecz okazało się, że był tylko ranny i żyje dotąd. Ponieważ ranny jest ciężkim przestępcą, chcemy go zabrać do szpitala G. P. U., gdzie nasz lekarz weźmie go pod swoją opiekę.

— Tak, coś o tem słyszałem — odparł prokurator. — Przed godziną może opowiadano mi, że w nocy postrzelono jakiegoś człowieka, a gdy ranny prosił mimowolnych świadków zbrodni o powiadomienie mnie, że zabijają go niewinnie, rannego drugim strzałem powalono na zie-

mie. Czy o tego samego człowieka komendantowi chodzi?

— Wątpię — odrzekł zmieszany Żylin.

— A jak nazwisko tego szczęśliwca, o którego tak się troszczysz, komendancie? — spytał prokurator.

— Sirocin — brzmiała odpowiedź.

— Sirocin? — powtórzył prokurator — co za dziwny zbieg okoliczności! Przed pół godziną telefonowano do mnie, że ranny nie przyznaje się do nazwiska Sirocin, twierdząc, że jest Rozskim. Rozskiego znam dobrze i byłem pewny, że jest jeszcze w więzieniu. Jak się zatem stać mogło, że Rozski, odsiadujący karę w więzieniu spacerował jako Sirocin po mieście? Nic nie rozumiem, proszę mi go pokazać, on mi sam odpowie kim jest.

Prokurator był u mnie, spisał zeznania o przejściach ubiegłej nocy i, zapewniając mi swoją obronę, wyszedł. Wychodząc, pożegnał doktora, a do Żylina zwrócił się z wyszukaną grzecznością:

— Nie będą towarzyszków zatrzymywał dłużej, a doktor zechce nikogo nie dopuszczać do chorego — i wyszedł.

— Odpowiesz nam za to — rzekł Żylin i nie spojrzawszy nawet na doktora opuścił szpital.

Upłynęły 3 dni od wizyty Żylina. Miałem spokój. Prócz lekarzy nie widywałem prawie nikogo. Opiekę miałem bardzo troskliwą. Nawet w nocy sypiał posługacz w moim pokoju, do którego po rozmowie z prokuratorem zaraz mnie przeniesiono. Na zapytanie dlaczego mnie tak pilnują, odpowiedziano mi, że obawiają się, by mnie nie otruto.

Pod dozorem lekarzy, braci NN... szczególnie młodszego N... szybko przychodziłem do zdrowia. Rany goiły się i ból głowy stawał się coraz lżejszy.

W dniu odwiedzin prokuratora posługacz przyniósł mi gazetę „Prawdę Wschodu” Nr. 741/141, w której przeczytał co następuje:

„W więzieniu miejskiem jeden z więźniów Rozski popełnił samobójstwo”. W innym numerze tejże samej gazety znalazłem wzmiankę: „Dziś w nocy dwaj czekiści Kałasznikow i Wawilin schwyтали kontrrewolucjonistę i szpiega Sirocina, którego w pościgu zastrzelili. Ciało jego przewieziono do szpitala miejskiego”.

Plan czekistów był mądry, lecz pokrzyżował go mój powrót do życia.

Wiadomości te tak mnie przejęły, że chciałem zerwać się z łóżka i lecieć z gazetą do prokuratora. Uświadomiłem sobie całą taktykę G. U. P. Otóż chciano się zwyczajnie pomścić na mnie. A ponieważ chodziło im o Moskwę, która nakazała bezwarunkowo schwytać Sirocina, postanowili więc dokonać tego pozornie, mnie zaś usunąć rzeczywiście. I obmyślili swój plan szatański, że ja zastrzeliłem się w więzieniu, a jego zabito na ulicy.

Po kilku dniach pobytu w szpitalu, kiedy zacząłem się już podnosić i z pomocą posługacza przechadzać się po pokoju, przysłano straż z G. P. U. celem strzeżenia mnie. Straż nie opuszczała mnie ani na chwilę i zabraniała mówić nawet ze służbą. Pobyt mój w szpitalu kończył się. Po dwóch tygodniach czułem się na tyle dobrze, że lekarz uznał mnie za wyleczonego z ran zupełnie, a więc zdolnego do osadzenia z powrotem w więzieniu. Zabrano mnie

więc najpierw do G. P. U., którego szef kazał mi podpisać zobowiązanie pod karą śmierci, że przemilczę wszystko, cokolwiek przecierpiałem od G. P. U.

— W takim razie żądacie ode mnie wydania na siebie wyroku śmierci — powiedziałem — gdyż dotąd nie ukrywałem niczego, przeciwnie opowiedziałem już wielu o tem, co przez was wycierpiałem.

— Milcz! Nie gadaj! Wiem komu opowiedziałeś, ale teraz masz milczeć. Podpisuj, bo jeżeli odmówisz podpisu, pozostaniesz u nas — jeżeli zaś podpiszesz, odeślę cię do więzienia. Wybieraj!

Co było począć? Po krótkim namyśle postanowiłem podpisać, bo czyż mogłem inaczej postąpić. I dziwna rzecz, G. P. U. tym razem dotrzymało słowa. Odesłano mnie do więzienia miejskiego, skąd po kilku dniach przeniesiono do ciężkiego kryminalnego więzienia w Dżyżaku, znajdującego się w stepach oddalonych od Taszkientu o kilkaset kilometrów. Co za cudowna perspektywa! Step, dużo powietrza, słońca, a nadewszystko odległość od G. P. U. tak mnie ucieszyła, że chwilami wydawało mi się to złudzeniem, snem, to znów chciało się krzyczeć z radości, wesela, szczęścia.

Przewieziono mnie i przez kilka miesięcy miałem najzupełniejszy spokój. Myślałem, że zapomniano o mnie nareszcie i pozwolono już spokojnie odsiedzieć te 5 lat, na które przed postrzeleniem byłem skazany. Liczyłem więc ranki i wieczory, ciesząc się, że każdy miniony dzień zbliża mnie do upragnionej wolności.

Przypuszczenie, że zapomniano o mnie, okazało się mylne, bo po kilku miesiącach zu-

pełnego spokoju, przypomniano mnie sobie. Zbyt wiele widocznie narobiłem im przykrości, że myśli unieszkodliwienia mnie, właściwie stracenia — nie zaniechali. Otóż G. P. U. porozumiało się z Sądem Najwyższym Republiki i ten wbrew prawu unieważnił wyrok, skazujący mnie na 5 lat więzienia, żądając ponownego rozpatrzenia sprawy przez trybunał wojskowy w nowym składzie sędziów, którym nakazał zwrócić szczególniejszą uwagę na jej motywy. Stanowczo chciano mnie stracić nie tym, to innym sposobem.

Wiadomość ta przygnębiła mnie strasznie. Liczyłem na zupełną przegraną, dotąd bowiem całą nadzieję pokładałem w prokuratorze wojskowym, który był zawsze, jak zresztą całe wojsko sowieckie w niezgodzie z G. P. U. Wojsko sowieckie lekceważy na każdym kroku G. P. U., a ono zato odplaca mu nienawiścią.

W kilka dni po otrzymaniu tej niewesołej wiadomości przyszliz wysłańcy G. P. U. i zabrali mnie zpowrotem do Taszkientu. Więzienie opuszczałem z taką rozpaczą, że słów nie staże na wypowiedzenie jej. Prowadzono mnie pieszo do dworca pod eskortą przez step, który był tak cudny w swej rozległości i ciszy, że na myśl, że nie ujrzę go więcej, łzy cisnęły mi się do oczu.

I znów znalazłem się na bruku tego samego miasta, w którym tyle przeżyłem, przecierpiałem...

Posadzono mnie oczywiście w więzieniu. Spotkałem tam znajomego adwokata, który, dowiedziawszy się o unieważnieniu poprzedniego wyroku, z całą szczerością powiedział mi,

że będę rozstrzelany. Radził mi posłać skargę do Moskwy.

Pisać do Moskwy! I poco? Czyż Moskwa nie ma swego Czeki?

Podczas pobytu mego w szpitalu, zanim zostałem otoczony strażą, odwiedzała mnie pewna pani, która pomogła mi opisać cały przebieg sprawy z G. P. U. Wydrukowała to w kilku egzemplarzach i, dołączwszy wycinki z gazet, rozesłała do wszystkich „Narkomów”, prokuratorów generalnych. Jedną z tych skarg ta zacna osoba odważyła się oddać Prezydentowi Republiki Turkiestańskiej, Achum-Babajemu, który właśnie w tym czasie był w Taszkencie. I cóż? Wszystko przebrzmiało bez echa i może lepiej się stało, bo inaczej możnaby się było spodziewać aresztu tej kobiety, która miała odwagę oskarżać G. P. U..

Pozostawało mi tylko jedno: zemsta w „ostatniem słowie”. Sąd Wojskowy zazwyczaj sądził sprawy przy otwartych drzwiach — wiedziałem więc, że będzie dużo ciekawych i przygotowałem się, by powiedzieć wszystko co na duszy ciążyło.

Przygotowania do sprawy zaczęły się od zbadania mego stanu psychicznego. Wsadzono mnie do domu warjatów.

— Wsadzili mnie pomiędzy warjatów pomyślałem i przetrzymają dopóki naprawdę zwaruję. — Ale Bóg Miłosierny nie dopuścił do tego.

Po zbadaniu lekarze orzekli: „Przed sądem odpowiedzialny” — zabrano mnie więc z domu warjatów i wyznaczono termin sprawy.

Dzień sądu. Sąd wyznaczył mi adwokata, a oprócz tego zgłosił się jeszcze jeden na ochot-

nika. W sali sądowej zaczęło się od tego, że prokurator, nie zgadzając się na unieważnienie dawniejszego wyroku, zrzekł się oskarżenia. Adwokat zgodził się ze stanowiskiem prokuratora, dodając, że jestem jeszcze po otrzymanych ranach chory i nie powinienem podlegać sądowi.

Posiedzenie sądu trwało niespełna godzinę; poczem nastąpił wyrok zmniejszający poprzedni wymiar kary o rok więzienia za otrzymane rany.

— Czy zrozumiałeś i zadowolony jesteś z wyroku? — zapytał prezes sądu Bandarczuk.

Wyrok był tak nieoczekiwany, że poprostu uwierzyć nie mogłem. Przecierałem oczy, by się przekonać, że nie śnię, że znajduję się w sądzie, że to wszystko, co usłyszałem przed chwilą, jest rzeczywistością. Rozkaz opuszczenia sali przekonał mnie nareszcie, że to wszystko prawda i że wracam do swojej celi, z którą już się zżyłem i która mimo całej swej okropności była rajem wobec piwnicy G. P. U.

Jakich dróg, jakich środków użył mój dobry genjusz — prokurator, nie wiem, lecz po dwóch latach otrzymałem zawiadomienie, że jestem zwolniony z więzienia.

Wolny! Nie mogłem sobie poprostu wyobrazić siebie wolnym, chodzącym bez eskorty po mieście, między ludźmi, ot tak, jak dawniej bywało. I ten tylko zrozumieć mnie może, kto w dwudziestym roku życia spędził przeszło dwa lata w więzieniu, pozbawiony ruchu, powietrza, słońca, przestrzeni, znosząc zniewagi i pogwałcenie praw ogólnoludzkich. To też szczęście moje nie miało granic. Całą duszą wielbiłem Boga za okazaną mi dobroć i łaskę, gdyż wszyst-

ko co zaszło tak nieoczekiwanie, tak wprost cudownie, zawdzięczałem Jemu jedynie. Stwórcy wszechrzeczy.

Nie mogłem się doczekać papierów, stwierdzających mą wolność, myślami byłem już hen, daleko poza murami więzienia. Stałem przy oknie i nasłuchiwałem rychło-li otworzą mi drzwi i wypuszczą na słońce, powietrze. W zamysleniu nie usłyszałem otwierania drzwi, lecz zato poczułem trącanie w ramię i usłyszałem, jak na stosunki więzienne dosyć uprzejme słowa:

— Masz tu papiery zwolnienia. — Czegóż tak rozdziawiłeś gębę i czego szukasz tam na niebie? Marsz do celi w bramie więziennej — tam przyjdzie po ciebie eskorta z G. P. U.

Słowa te były tak ieoczekiwane, że zdrętwiałem zupełnie. Zsunąłem się na ławę, lecz szarpnięto mnie za rękę i kazano iść przed sobą. Za ledwie uświadomiłem sobie położenie, byłem już w celi, przy bramie. Przyszła eskorta G. P. U. Siły opuściły mnie zupełnie. Mimo zachęceń kolbą karabina nie mogłem iść. Wzięto dorożkę i zawieziono mnie do G. P. U., gdzie ujrzałem znów Moskowa. Coś mówił, pokazywał jakieś papiery, ale co to wszystko miało znaczyć, zrozumieć nie mogłem, a co najważniejsze, że nie starałem się nawet o to zupełnie. Ogarnęła mnie najzupełniejsza obojętność.

Jak tam długo byłem — nie wiem, aż nareszcie zrozumiałem, że żądali ode mnie piśmienne go zobowiązania, że bez wiedzy i specjalnego pozwolenia GPU nie wyjadę z Taszkientu, a w razie przekroczenia granicy miasta będę uważany za zbiega, podlegającego bezwzględnie rozstrzelaniu, a również gdyby się dowie-

dziano, że opowiadałem komubądź o swych przeżyciach w GPU. w tamtą pamiętną noc — podlegam tejże karze.

To, co usłyszałem było drobnostką wobec przeczuć, jakie przed tą rozmową mnie dręczyły. Nie czytając nawet podanych papierów, podpisałem je szybko i z niecierpliwością rzuciłem się do drzwi. Lecz za drzwiami stała warta, zasłaniając mi drogę karabinem.

Oszukano mnie! przesunęło się mi przez głowę. Podpisałem, że nikomu nie opowiem, a przecież już opowiadałem w szpitalu i w więzieniu. Więc był to pewno podstęp, by wydostać ode mnie mój własny wyrok. Rzuciłem wkoło spojrzeniem: pierwsze piętro, okno otwarte bez krat — tam za oknem wolność.

— Poczekaj, nie spiesz się, jeszcze zdążysz — rzekł z ironją, zastępując mi drogę, Moskow. Ten uśmiech jego, ten podły ton głosu — był straszny. Odtrąciłem Moskowa i rzuciłem się do otwartego okna, lecz nie dobiegłem, siły mnie opuściły.

Kiedy odzyskałem przytomność zobaczyłem stojącego Moskowa i felczera.

— Ha, wypieścili ciebie, jak pensjonarkę, w więzieniu. Stałeś się delikatny, jak panienka. Sfotografować go i wyrzucić za drzwi — rzekł Moskow, opuszczając swój gabinet. Zostałem wolny.

Wyszedłem na ulicę, rozejrzałem się wokoło. Miałem uczucie tropionego zwierza. Zdawało mi się ciągle, że słyszę czyjeś kroki za sobą, że jestem śledzony. Nerwy moje były widocznie tak rozstrojone, że mimowoli ciągle odwracałem głowę i najmniejszy szmer usłyszany na ulicy przyprawiał mnie o drżenie serca.

Pragnąc wolności nie myślałem co z nią zrobić. Chodziło mi, by ją zdobyć. Teraz zdobywszy ją nie miałem dokąd się udać, co począć ze sobą. Krewnych i bliskich znajomych w Taszkencie nie miałem, więc i dachu nad głową nie przewidywałem narazie. Trzeba było i o ten pomyśleć.

Szedłem przed siebie, prześladowany myślą, że za mną ktoś idzie, goni. Przyśpieszyłem kroku, obejrzałem się i zawróciłem w pustą ulicę. Znow się obejrzałem. Nikogo. Wszedłem w jakieś podwórze, przeskoczyłem przez płot na drugie i przez nie wyszedłem na ulicę równoległą do poprzedniej. Przebiegłem ją i, ukrywając się we drzwiach, rozglądałem się uważnie czy mnie nie śledzą. Nie zobaczyłem nikogo podejrzanego. Więc nie byłem śledzony, lecz naprawdę wolny! A więc dokąd pójść? O wyjeździe nawet myśleć nie mogłem, gdyż będąc pozbawiony praw, nie posiadałem paszportu, wreszcie byłem bez grosza. Poszedłem do wydziału wojskowego, prosząc o wydanie mi biletu jako zdemobilizowanemu. Papier ów wydano mi bez żadnych trudności, ale gdy poprosiłem o bilet na przejazd kolejowy i pieniądze djetowe, przysługujące zdemobilizowanemu Sowieckiej Rosji, doradzono mi z ironją, bym się udał do Wasyljewa, pułkownika wojsk powstańczych, do którego 2 lata temu chciałem się przedostać, a którego oddział został już dawno przez bolszewików zlikwidowany. Zabrałem pośpiesznie papiery i wyszedłem. Do wieczora było daleko. Jeść się chciało, a tu grosza w kieszeni nie miałem. Przypomniałem sobie znajomych, których wprawdzie znałem niewiele, ale znałem ich jako bardzo dobrych i życzliwych mi ludzi. Przy-

jeśli mnie bardzo serdecznie i zaproszenie ich na czas dłuższy przyjąłem z wielką wdzięcznością. Po tygodniu przy pomocy tych właśnie znajomych, udało mi się otrzymać posadę. I życie ułożyło mi się nieźle. Jedyną przykrością było meldowanie się co tydzień w GPU., ale i do tego zdążyłem się już przyzwyczaić. Odzyskiwałem powoli zdrowie i nerwy uspokajały się stopniowo.

Upłynęło kilka miesięcy. Pewnej nocy zostaliśmy zaalarmowani jakimś niezwykłym o tej porze hałasem. Znajomi, u których dotąd mieszkalem, przerazili się bardzo. Zerwałem się z łóżka. Jakieś straszne przecucie ścisnęło mi serce: czyżby znów po mnie? i czego znów chcą? Ktoś otworzył drzwi, w których ujrzałem 3 czekistów. Nie pytając się o nic ubrałem się pośpiesznie i zabrałem najpotrzebniejsze rzeczy, jak kołdrę, poduszeczkę i miskę z łyżką. Czekiści zdumieni memi przygotowaniami, upewniali mnie, że nie warto tak zaopatrywać się, gdyż prawdopodobnie za jaką godzinę powrócę do domu. Znałem już ich dość dobrze, by nie zwracać uwagi na ich zapewnienia. Z domownikami rozstaliśmy się bez słów, bez słów uściśnaliśmy sobie ręce i wyszedłem. Szedłem przodem w kierunku gmachu G. P. U., gdyż domyślałem się, że prowadzono mnie właśnie tam. Patrząc na uśpione miasto, które nigdy mi się tak ładnym nie wydawało jak właśnie dzisiaj, na oświetlone gdzieś niegdzie okna, za którymi gościł może spokój, smutek ogromny zalał mi duszę — czy zobaczę je jeszcze kiedy? Czy wogóle jutro dla mnie nastąpi? Wtem w półmroku zajaśniał złowrogi, czerwono oświetlony

napis „P.P.O. G.P.U. w Azji Środkowej”. Znów ten sam domek, podwórze, korytarz i cela. W celi było już kilku ludzi. Położyłem się i momentalnie zasnąłem mocnym, ciężkim snem. I było to wielką ulgą dla mnie, nie słyszałem bowiem kilkakrotnego w ciągu nocy otwierania drzwi, któremi wpuszczano coraz to nowych więźniów. Dowiedziałem się o tem rano, gdy zamiast 5, naliczyłem w celi już 13 ludzi.

Jedni drugich zapytywali za co zostali uwięzieni, lecz żaden z nich przyczyny domyśleć się nie mógł. Między więźniami byli przeważnie żołnierze białej armji, którzy po jej rozbiciu byli już dopuszczeni do zamieszkiwania w Rosji i spokojnej pracy, lub ci, którzy za jakieś kontrrewolucyjne przestępstwa byli już przez czekistów karani, a więc zawsze w podejrzeniu

Przeszedł dzień jeden, drugi. Trzeciego dnia zjawił się w naszej celi Żylin. Znał widocznie wszystkich, bo po swojemu do każdego zagadał. Podszedł oczywiście i do mnie. Uśmiechnął się i rzekł:

— Jakże się cieszę, że nie zapomniałeś o nas. Jest to bardzo ładnie z twojej strony nie zapominać przyjaciół. Zawsze przyjmujemy cię z otwartymi ramionami.

Na pytanie jednego z więźniów za co zostaliśmy osadzeni, Żylin odpowiedział, że nie wie, ale radził nie myśleć o tem, gdyż czekał dostatecznie o ich los się troszczyć. I jeżeli nie zostaną rozstrzelani — to w takim razie będą żyć.

Upłynęły trzy tygodnie. Pewnej nocy usłyszeliśmy otwieranie drzwi celi. Przez cały ten czas nie zdarzyło się, by w nocy wchodzono do

nas, więc przebudziliśmy się prawie wszyscy. Spojrzałem w drzwi i zobaczyłem w nich Żyliną z dozorcą piwnic. Wszedł do celi i, rozejrzawszy się po niej, jakgdyby kogoś szukał, rzekł uprzejmie: „Przepraszam, że przerwałem wam sen, lecz muszę was rozsortować. Zabiorę z tej celi 4, a na ich miejsce przyjdą inni. Więc ty, ty, ty i ty weźcie swoje rzeczy i wyjdźcie na korytarz”.

Przerażeni wybrańcy losu wykonali machinalnie polecenie i wyszli. Za nimi wyszedł i Żylin. Drzwi celi zamknięto. Po chwili dała się słyszeć jakaś krótka walka, stłumione głosy i znów cisza. Byliśmy wszyscy szalenie niespokojni i ciekawi co z tymi biedakami robią. Podeszedłem do „wołczka” (okienko w drzwiach celi, przez które dozorca obserwuje więźniów). W korytarzu byli uzbrojeni i nieuzbrojeni czekisci, z których ci ostatni rzucili się na wyprowadzonych przed chwilą więźniów i powiązali im ręce. Biedni skazańcy stali cicho z rozszereżonemi z przestachu i zdziwienia oczyma. Żylin podeszedł do nich i dotykając ramienia jednego z nich rzekł:

— Przepraszam za uczynioną wam niespodziankę, ale tutaj będziecie bezpieczniejsi aniżeli w celi. Możecie odejść — rzekł zwracając się do czekistów. Pozostało tylko 4 czekistów.

— Więc tak — panowie — rzekł Żylin — za parę chwil musicie udać się w drogę, a ponieważ każdy z was niecierpliwi się z pewnością, więc powiem wam dokąd i dlaczego jechać musicie.

I wyciąwszy z kieszeni papier, zaczął czytać:

— W odpowiedzi na zabójstwo przedstawiciela Z. S. S. R. w Polsce — Wojkowa O.G.P.U.

w Moskwie potwierdza wyrok stracenia — (Żylin wymienił nazwiska skazanych). Jest mi niesłychanie przykro, że jest was tak mało, przyjemniejby było wam wszystkim razem, lecz Moskwa tak postanowiła i ja na to nic zaradzić nie mogę. Ale nie smućcie się, będzie was więcej, gdyż z każdego większego miasta w Rosji będzie straconych po kilku. Gromadka zatem zbierze się dość liczna. Szkoda tylko, że na tamtym świecie kobiet podobno mniej, ale przyrzekam wam, że postaram się w najkrótszym czasie przesłać wam trochę. Czy podpisiecie ogłoszony wyrok, czy też zaufacie na słowo?

Wtem Żylin spojrzał na drzwi celi i zobaczywszy czyjaś głowę w okienku, poskoczył do niego. Ja oczywiście odbiegłem jak tylko mogłem najszybciej, lecz zauważył mnie widocznie, bo patrząc w okno roześmiał się i rzekł:

— Hej, przyjacielu, widzę, że się niecierpliwisz, ale nie moja to wina. Radbym i ciebie zobaczyć na liście jak najprędzej. W każdym razie nie martw się, i na ciebie czas przyjdzie.

— Żebyś przepadł — pomyślałem. Nie chcąc już nic widzieć ani słyszeć, wtuliłem głowę w koldrę i całą duszą dziękowałem Bogu za siebie, a za tych biedaków modliłem się gorąco. Z korytarza dochodziły jeszcze jakieś szmery, jakby walki, wreszcie wszystko ucichło. Czterech ludzi znów pozbawiono życia! I za co? Tak, więc nareszcie dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy uwięzieni za Wojkowa, i że ci 4 również zginęli za tego człowieka.

Po upływie nowych trzech tygodni zwolniono nas wszystkich. Po opuszczeniu więzienia wróciłem na dawną posadę i meldując się co ty-

dzień w GPU., żyłem bez jutra, z dnia na dzień, gdyż nie było prawie dnia, by nie pytano o mnie w biurze. Życie stawało się poprostu nieznośnem i dłużej tak trwać nie mogło, a ponieważ w końcu lipca 1927 r. przypadł mi urlop, postanowiłem wykorzystać go na ucieczkę z Taszkientu. O pieniądze nie martwiłem się, wiedząc, że je na urlop jako zaliczkę dostanę.

W pierwszy dzień urlopu zameldowałem się jak zwykle o godzinie 9 rano w GPU., a o godzinie 10 siedziałem już w pociągu, idącym do Moskwy. Do następnego meldunku miałem cały tydzień, a więc jeśli siódmego dnia zauważą moją nieobecność, będę już od Taszkientu tak daleko, że może uda mi się umknąć z ich rąk. Piątego dnia byłem już w Moskwie, skąd pierwszym pociągiem udałem się do Kijowa.

Przez 11 miesięcy ukrywałem się, nie meldując się nigdzie. I tak się już do tego nowego trybu życia przyzwyczaiłem, że zacząłem nareszcie wierzyć w wolność swoją i bezpieczeństwo zupełne. Po usilnych staraniach znajomych, których miałem w Kijowie, dostałem posadę przy budowie mostu kolejowego na Dnieprze pod Kijowem. Wydział budowlano-kolejowy, w którym pracowałem, kilkakrotnie już prowadził roboty koło samej granicy, więc cieszyłem się nadzieją, że w jesieni zbliżymy się z robotami do granicy, skąd uda mi się może zbiec do Polski.

Plany te robiłem w czerwcu, lecz nieprzewidziane okoliczności zmusiły mnie do wykonania ich wcześniej aniżeli obliczyłem.

Czerwiec był w całej pełni. Dni były upalne, przecudne. Brzegi Dniepru roily się od ludzi.

Wszyscy byli rozradowani, weseli. Nawet tysiące dzieci bezdomnych, rzuconych przez matki i społeczeństwo na pastwę losu, błąkały się po ulicach nad brzegiem rzeki wesołe i szczęśliwe, że nie potrzebują już siedzieć w swych norach lub gnijących śmietnikach, w które podczas zimy zagrzebywały się zazwyczaj, chroniąc się przed zimnem. Całe rzesze tych nieszczęsnych, zdemoralizowanych dzieci przeniosły się z miasta do ogrodów podmiejskich i na brzeg Dniepru. Wałęsały się po całych dniach, udając się do miasta tylko po to, by wyżebrać trochę pożywienia, lub poprostu odbierać niosącym z targu gospodyniom żywność. Twarze niektórych były poprostu straszne. Jakieś zdziczenie wyziera im z oczu i często, szczególnie w walce o jedzenie, podobne były raczej do zwierząt aniżeli do ludzi. Chodziły zazwyczaj gromadnie i często stawały się dla przechodniów nawet niebezpieczne. Policja niezawsze reagowała na ich dzikie wybryki, unikając starcia się z nimi, bo najczęściej zelżona, oplwana musiała im ustępować. Patrząc na tych nieszczęsnych, małoletnich przestępców, których najbliżsi i własne społeczeństwo rzuciło na dno nędzy i zepsucia, nie można się było oprzeć uczuciu litości dla tych nieodpowiedzialnych za swe czyny nędzarzy, a głębokiego wstrętu dla ustroju, stwarzającego takie okropne warunki w społeczeństwie ludzkim.

Biuro, w którym pracowałem, znajdowało się około dawnego łańcuchowego mostu nad samym brzegiem Dniepru. Pewnego czerwcowego ranka, stojąc przy biurku, porządkowałem swoje

papiery. Było jeszcze bardzo wcześnie i oprócz rachmistrza, bardzo miłego staruszka, nikogo więcej jeszcze nie było w biurze. Za biurem w ogromnej sali stały szeregi warsztatów, gdzie pracowało kilkudziesięciu robotników, a ponieważ zajmowałem stanowisko kontrolera robotników, więc do warsztatów zachodziłem bardzo często. Uporządkowawszy papiery, stanąłem w oknie, pogwizdując wesoło. Nagle zdrętwiałem. Zobaczyłem dwóch czekistów w mundurach G. P. U. zdążających do biura. Intuicyjnie wyczułem, że idą do mnie, raczej po mnie. I dziwna rzecz, zamiast niepokoju, obudziła się we mnie energja, chęć walki, oporu. Ponieważ stałem blisko drzwi, więc nadchodzący zwrócili się do mnie z zapytaniem:

— Czy tu pracuje niejaki Rozski?

Obejrzałem się na rachmistrza. Staruszek, przeczuwając widocznie, że przyszli po mnie, pochylił głowę i udał, że pytania nie dosłyszał. Bez najmniejszego namysłu odpowiedziałem:

— Tak jest, ale w tej chwili znajduje się na terenie robót. Jeżeli macie towarzysze ważną sprawę, to pójdę po niego. Proszę przejść do pokoju inżyniera i tam zaczekać.

Obejrzałem się na rachmistrza. Spojrzał na mnie znacząco i zajął się swoją pracą. Otworzyłem drzwi gabinetu, wpuściłem czekistów, a sam pośpiesznie wyszedłem.

Gdy biegłem koło kuźni przyszła mi myśl wziąć na wszelki wypadek jakąś legitymację pierwszego lepszego robotnika z bezpłatnym biletem kolejowym. Wpadłem do kuźni i zażądałem od kowala legitymacji. Ponieważ często zabierałem dowody osobiste od robotników do

kontroli, więc i teraz pocziwy kowal, nie prze-
czuwając podstępui, dał mi go natychmiast.
Schowałem go do kieszeni i wskoczyłem do
przejeżdżającego tramwaju. Obejrzałem się za
siebie i zobaczyłem kowala, patrzącego na mnie
z wytrzeszczonemi ze zdziwienia oczyma. Sta-
nałem na platformie wozu, by móc patrzeć za
siebie, czy nie jestem ścigany, lecz na szczęście
oddalałem się coraz bardziej, biuro z przed-
oczu zniknęło. I po raz pierwszy w życiu uczu-
łem zadowolenie z popełnionego oszustwa!...

Dojechałem do miasta. Zajrzałem do mie-
szkania, gdyż chciałem wiedzieć, czy mnie tam
już nie szukano. Ale okazało się, że wszystko
było w porządku. W każdym razie w mieszkani-
u nie mogłem pozostać. Trzeba było uciekać,
ale dokąd? Pieniędzy nie miałem, gdyż był to
18 czerwca, a pensję otrzymywałem 20-go, ale
tem nie przejmowałem się bardzo. Jakoś to bę-
dzie pomyślałem. Tyle już rzeczy straszniej-
szych się przeszło, z tylu kłopotów Pan Bóg cu-
downie mnie wyrwał, więc i teraz może dopo-
może. Byleby prędzej, prędzej przed siebie, do
Polski, gdzie napewno znajdę spokój i wy-
technienie dla umęczonego ciała i ducha. Zosta-
wiałem w Rosji tylko mogiłę ojca i z bólem
w duszy zegnałem ją na zawsze...

Wyjąłem legitymację kowala i począłem
przyglądać się fotografii, która miała tylko tyle
podobieństwa, że przedstawiała młodego czło-
wieka mniej więcej w moim wieku, z włosami
odrzuconemi na tył głowy. Całe szczęście, że
włosy miałem długie i z uczesaniem kłopotu nie
było. To też zmieniłem fryzurę według wzoru
i ubrudziłem ręce. Wysokie buty, kozackie

spodnie i długa rosyjska koszula stanowiły mój strój. Z rublём w kieszeni wyruszyłem na dworzec. Pociąg odchodził o godzinie 11-ej wieczorem, a ponieważ bałem się pościgu, poszedłem do następnej stacji pieszo. Bezpłatny bilet kolejowy kowala służył na przejazd dwustu kilometrów, do Szepetówki zaś, do której dostać się pragnąłem było trzysta osiemdziesiąt kilometrów, to znaczy, że mogłem dojechać tylko do Jabłonowa. Ile będzie kosztować bilet dalej? Nie wiedziałem. Ale nie zastanawiałem się nad tem, gdyż i tak, nie mając pieniędzy, zaradzić na to nie mogłem. Wszedłem więc do wagonu, polecając się Opiece Boskiej. Ulokowałem się na najwyższej półce w przedziale i zasnąłem mocno, beztroskim snem. Budzono mnie kilkakrotnie w celu kontroli biletu, ale ponieważ byłem na całe 200 km zabezpieczony, więc zasypiałem spokojnie na nowo.

Zbudziłem się o godzinie 5-ej rano. Stanęliśmy w Korosteniu, gdzie wyszedłem, chcąc się dowiedzieć ceny biletu z Jabłonowa do Szepetówki. Jak się okazało bilet kosztował kilka rubli, a miałem zaledwie 72 kopiejki. Wszystko jedno, nie starczy, a mając pragnienie kupiłem za 50 kopiejek butelkę piwa. Co było robić? Wskoczyłem więc z całą beczelnością do wagonu i na prawach „zająca”, czyli na gapę pojechałem dalej. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w tem położeniu i przyznać muszę, że jest to uczucie szalenie przykre. Obawiając się możliwego zatargu ze służbą kolejową, a co za tem idzie i wstydu wobec podróżnych, wyszedłem na pomost wagonu. Nie wiem czy kiedykolwiek modliłem się do Boga goręcej,

jak właśnie wtedy, prosząc Go o pomoc w tem ryzykownem, a tak koniecznem dla mnie przedsięwzięciu.

Pociąg biegł szybko, zostawiając za sobą smugę dymu i migające w dali sylwetki lasów i osiedli ludzkich. Do Szepetówki pozostawało jeszcze 4 — 3 wreszcie 2 stacje. Przeszedł konduktor, lecz na szczęście o bilet nie pytał. Po chwili widziałem przechodzącego agenta GPU., który mijając mnie, spojrzał się jak na ścianę. Boże, jeszcze jedna stacja — i będzie już Szepetówka! Zdawało mi się, że pociąg nie dość szybko idzie, że zamiast przyśpieszać zwalnia biegu, a każde stuknięcie kół na spojeniach szyn odbijało mi się w skroniach, przyprawiając o straszny ból głowy. Wreszcie wszedł konduktor, prosząc o bilety. Wyjąłem wypożyczoną legitymację i książeczkę na bezpłatny przejazd. Trzymając ją w ręku, wyrwałem przecięty już bilet i wsunąłem mu w rękę. I o dziwo! konduktor nie spojrzał nań nawet, wsunął go między inne bilety i wyszedł. Chwila, której tak strasznie się bałem minęła — i Szepetówka przede mną! Pół godziny potem pociąg zatrzymał się. Wsiadłem i zauważyłem z radością, że napisy na stacji były polsko-rosyjskie.

Teraz należało się dostać do Sławuty, oddalęj od Szepetówki o 18 kilometrów, a stamtąd poszedłbym już piechotą przed siebie, na zachód.

Udałem się do kasy z zapytaniem o cenę biletu do Sławuty. Jakaż była moja radość, gdy dowiedziałem się, że bilet kosztuje 42 kopiejki. W kieszeni miałem właśnie 42 kopiejki. Czy to nie wyższa Siła? I czy pomimo zaznanych prze-

ciwności i przykrości nie mogłem się nazwać szczęśliwcem? Kupiłem bilet. Ponieważ do odejścia pociągu do Sławuty pozostało jeszcze kilka godzin, nie chcąc defilować blisko stacji, udałem się do pobliskiego lasu, skąd widziałem dworzec doskonale. Ujrzawszy już zdaleka zbliżający się pociąg, pobiegłem do niego i po chwili ruszyłem w drogę. Przyjechałem do Sławuty. Stacja znajdowała się wśród lasu i prócz zabudowań stacyjnych innych domów nie było zupełnie.

Nie wiedząc w której stronie znajduje się miasteczko, dla zorientowania się zatrzymałem się chwilę, rozglądając się wokoło. Wtem podszedł do mnie czekista z żołnierzem pogranicznym z zapytaniem, czego szukam. Odpowiedziałem, że chcę iść do miasteczka, lecz drogi do niego nie znam.

— To wy nie tutejszy widocznie, skoro nie wiecie gdzie jest miasto?

— Gdybym był tutejszym, nie pytałbym o drogę.

— A skąd jedziecie — pytał dalej czekista.

— Z Kijowa. Przyjechałem do przyjaciela, który służy w policji i mieszka w Sławucie.

— A gdzie mieszka — spytał znów czekista. Pytanie to zaskoczyło mnie, ale przypomniałem sobie zaraz, że we wszystkich miastach i miasteczkach sowieckich musi być obowiązkowo ulica *Lenina*, więc, nie namyślając się, rzuciłem:

— Przyjaciel mój mieszka przy ulicy Lenina.

— A dowód masz?

Wydobyłem legitymację i, unikając badawczego wzroku, odwróciłem głowę; by mu poka-

zać swoje podobieństwo fryzury zdjąłem czapkę i z niecierpliwością czekałem na koniec męczącej, przyprawiającej o siódme poty rozmowy. W czasie odczytywania mego dokumentu rozmawiałem z żołnierzem, spoglądając od czasu do czasu na czekistę. Wreszcie skończył czytać i rzekł:

— Ale schudłeś strasznie, trudno cię poznać!

— Tak, zmizerniałem bardzo, bo niedawno przechodziłem operację ślepej kiszki i właśnie jadę na urlop. Tu podobno życie jest znacznie tańsze niż w Kijowie.

Oddał mi wreszcie legitymację i dosyć uprzejmie wskazał kierunek drogi.

— Ja też mieszkam na ulicy Lenina, więc się kiedy spotkamy.

— Żebyś przypadł — pomyślałem.

Poszedłem we wskazanym kierunku. Czas był prześliczny. Las szumiał cicho, rozsiewając cudny zapach wokoło. Kierując się według zachodzącego słońca, przeszedłem przez las, za którym ciągnęło się pole. Wdali ujrzałem rzekę mieniającą się purpurą i złotem zachodzącego słońca. Poszedłem w jej kierunku i przeszedłem przez most na drugi brzeg. Wreszcie słońce skryło się i zaczęła zapadać noc. Zacząłem tracić kierunek obranej drogi. By nie marnować czasu na błędzenie, postanowiłem przenocować i czekać wschodu słońca. Położyłem się więc w życie i zasnąłem natychmiast.

Pomimo, że był to lipiec, noc widocznie musiała być chłodna, bo obudziłem się zziębnięty. Zerwałem się i wywróciwszy dla rozgrzania kilkanaście koziołków, począłem biegać tam i zpowrotem aż do zmęczenia. Choć to niewiele

pomogło narazie, jednak ochronilem się może od choroby. Zaczęło świtać. Poszedłem w kierunku zachodnim. Obchodziłem wsie, chaty i pracujących w polu robotników. Głodny byłem szalenie, bo od butelki piwa wypitej wczoraj, nic jeszcze nie miałem w ustach. Szedłem ciągle przed siebie. Słońce znów chylić się zaczęło za las. Robotnicy schodzili z pola, a ja szedłem ciągle. Przeszedłszy jakiś zagajnik, zobaczyłem osiedle ludzkie. Pragnienie mnie paliło i nie zważając już na nic, zbliżyłem się do chaty. Spotkałem po drodze wieśniaka grabiącego siano. Spostrzegłszy mnie, wybałuszył ze zdziwienia oczy.

— Czy macie wodę do picia? — spytałem.

— Wodę mam — ale czego się tu włóczęysz? Czy nie wiesz, że wam tu przychodzić nie wolno? Może przyjdzie straż i zaaresztuje cię, a potem wyśle zpowrotem do Rosji.

W pierwszej chwili nie mogłem go zrozumieć. Nie mogłem poprostu uświadomić sobie jaka straż i dlaczego mnie mają odsyłać zpowrotem. Co znaczy z p o w r o t e m?

— Co ty mówisz, kto przyjdzie i zaaresztuje mnie? — spytałem.

— Kto, Polacy!

— Co ty mówisz — Polacy? I ty chcesz, bym uciekał? Przecież ja jestem Polakiem i uciekam do n i c h. W której stronie są bolszewicy?

— Tam — rzekł wieśniak, wskazując ręką ku wschodowi.

— Tam? A tutaj co? P O L S K A??

— Tak, uciekaj, bo cię schwycą — powtórzył. Dużo tu takich przychodzi, którzy mówią, że są Polakami, a to psubraty, tylko na przespiegi

przychodzą, by spokojnym ludziom głowy durerzyć. Wynoś się, nie chcę z tobą gadać więcej.

Byłem nieprzytomny prawie. Nie wierzyłem jeszcze, że znajduję się na granicy Polskiej, w Polsce samej. Radość, szczęście rozsadzało mi piersi. Porwałem chłopą i zacząłem go ściskać, prosząc by mi wskazał drogę do posterunku Straży Pogranicznej. Wieśniak rozbrojony już i udobruchany zupełnie wskazał mi kierunek.

Padłem na kolana, dziękując z całej duszy Bogu za okazaną mi łaskę i pomoc w wydobyciu się z warunków, które dzisiaj wydają mi się strasznym, pełnym widziadeł i koszmarów snem.



BIBLIJOTECZKA SPOŁECZNA.

Cena

Nr. 1.	Sandor Terlaz. Wspomnienia robotnika z Liège. Przełożył J. Emisarski	— .60
Nr. 2.	A. S. Dzieje wojskowe Bartka	— .45
Nr. 3.	Czy lud rządzi w Rosji Sowieckiej . .	— .30
Nr. 4.	Mieczysław Lenardowicz. Na wyspach tortur i śmierci. Pamiętnik z Solówek .	— .60
Nr. 5.	Raj na ziemi	— .40
Nr. 6.	Antoni Sosna. Jaśko z Pomorza	— .90
Nr. 7.	Antoni Sosna. Przygody Kostka i Ignaca	— .50
Nr. 8.	Mieczysław Lenardowicz. Za czerwonym kordonem	— .50
Nr. 9.	Antoni Sosna. Noc na wartowni	— .50
Nr. 10.	Żywot i męki Juranda rycerza	— .50
Nr. 11.	K. Jotemski. W domu najlepiej	— .40
Nr. 12.	Andrzej Oracz. Nad czem radzą w Genewie	— .40
Nr. 13.	Antoni Sadowicz. Gdańsk niegdyś a dzisiaj	— .40

BIBLIJOTECZKA TEATRALNA „WIARUSA”.

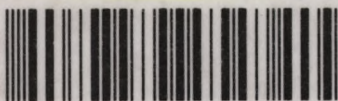
Nr. 1.	Roman Sumień. Bolszewicy pod Warszawą	1.20
Nr. 2.	Roman Sumień. Obchód imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego. Wskazówki dla teatrów żołnierskich	— .80
Nr. 3.	Jadwiga Turowiczówna. Inscenizowane pieśni ludowe	2.00
Nr. 4.	Adam Kowalski. Żywe pieśni. 12 inscenizowanych pieśni żołnierskich (12 ilustracyj w tekście)	2.50
Nr. 5.	Andrzej Oracz. Bronie przy Broni . .	2.00
Nr. 6.	J. Stojek. A kto chce rozkoszy użyć . .	2.00

DO NABYCIA

W GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ
 WARSZAWA, NOWY ŚWIAT Nr 69.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 316975



000-316975-00-0

